

Fayrene Preston

Tajemnicza kobieta

Dla Laury Parker Castoro, znakomitej pisarki i znakomitej przyjaciółki.

Rozdział 1

Bezksiężycowa noc miękkim całunem otuliła całe miasto, a nieprzeniknione ciemności i tajemnicze cienie spowiły je niczym kokon. W zadymionej sali baru „U Charliego” gwar rozmów mieszał się z dźwiękami starego pianina, wciśniętego gdzieś w kąt zatłoczonego pomieszczenia. Brzęcząca melodia „Satin Doll” Duke’a Ellingtona przebijała się przez jednostajny szum głosów, niekiedy zagłuszając je, czasem zaś, w jakiś niewy tłumaczalny sposób, stając się ich częścią.

Chylący się ku ruinie bar „U Charliego” mieścił się przy bocznej ulicy w samym centrum dolnej dzielnicy St. Paul. U schyłku lat czterdziestych Charlie prowadził ten elegancki lokal, tłumnie odwiedzany przez całą elitę. Teraz jednak jego blask dawno już przybladł, a zamiast wytwornego towarzystwa zaczęli do niego przychodzić zupełnie inni bywalcy, często dość podejrzanego konduity i wywodzący się z zupełnie innego kręgu. To, kim się jest, czy skąd się przybywa, nie miało dla nich najmniejszego znaczenia, przynajmniej do momentu, dopóki miało się dwa dolary na drinka i nie wtrącało nosa w nieswoje sprawy. Rozglądając się po barze spod wpół przymkniętych powiek, Jerome Mailer jeszcze raz potwierdził w myślach swoją opinię, co do rodzaju miejsca. Szczególnie tego wieczora unosił się nad nim jakiś dziwny nastrój, emanujący z przypadkowej zbieraniny ludzi.

- Przepraszam.

Jerome uniósł głowę. To była ona! I stała tuż za nim! Poderwał się z miejsca. - Halo!

- Halo! - uśmiechnęła się. - Ciekawa jestem, czy miałby pan coś przeciwko temu, gdybym się do pana przyłączyła?

- Ależ skąd! - odpowiedział, uprzejmie odsuwając stojące przed nim krzesło. - Proszę usiąść. Ulokował ją przy stoliku,

sam usiadł i wtedy pozwolił sobie na pierwsze dłuższe spojrzenie na nią.

Wszystkie jego wrażenia potwierdziły się. Była ciemną, mistyczną piękną. Brązowe loki ocieniały jej twarz i opadały na przód białej sukni. Cienkie łuki brązowych brwi dodawały głębi jej fascynującym ciemnym oczom. Skóra kremowobeżowego koloru miała odcień i urok najdelikatniejszej porcelany. Była to jedna z tych kobiet, o których mężczyźni marzą przez całe życie.

- Jestem ciekawa... czy zechciałby pan zabrać mnie na noc do hotelu? - powiedziała. Zaskoczony Jerome znieruchomiał i zaniemówił na dłuższą chwilę. To było rzeczywiście nowe

doświadczenie! Chociaż kobiety często sugerowały mu tego rodzaju postępowanie, czekały z tym zazwyczaj dłużej niż minutę lub dwie od momentu spotkania.

- Przepraszam, nie usłyszałem... - wykrztusił zdezorientowany.

Od przeszło dwóch godzin Jerome siedział przy niewielkim stoliku, popijając samotnie szkocką i zastanawiając się, dlaczego to robi. Zauważył oczywiście wiele zaciekawionych spojrzeń, jakimi od paru godzin obrzucały go siedzące przy barze kobiety i, nie wpadając w zarozumiałość, był świadom, że zwraca ich uwagę jego korzystna powierzchowność. Wysoki, z gęstymi włosami koloru rudoblond i jasnoniebieskimi oczami, roztaczał wokół siebie aurę sukcesu i siły z równą łatwością, z jaką nosił swe drogie ubrania. Kobiety nie miały dla niego tajemnic. Wiedział, że pociąga je jego wygląd, wiedział też, że chcą z nim być, dlatego że je rozumie i potrafi dać im to, czego potrzebują.

Tego wieczora jednak nie bardzo potrafił poradzić sobie sam ze sobą. Był w nastroju, którego nie potrafił określić. Wcześniej spotkał się ze swoim przyjacielem i wspólnikiem z kancelarii adwokackiej Danielem Parkerem St. Jamesem. Bar „U Charliego” pełnił nieomal funkcję ich biura, od czasu do czasu wpadali tu obaj, by wypić drinka i spokojnie pogadać. Jednak Daniel opuścił go już dość dawno temu, pojechał do żony i dzieci przygotować się do podróży do Waszyngtonu, gdzie pełnił obowiązki specjalnego doradcy prezydenta do spraw wewnętrznych.

Może on sam został tu tak długo, dumał dalej Jerome, bo nie ma żadnej rodziny i nie ma żadnego domu, dokąd mógłby się śpieszyć? Nic specjalnego od dawna się w jego życiu nie wydarzyło. Nie ma też się zresztą na co skarżyć. W wieku trzydziestu pięciu lat osiągnął więcej, niż wielu mężczyzn mogłoby kiedykolwiek zamarzyć. Pochodził przecież z nikąd, z ulicy, był kiedyś zastraszone, głodnym dzieciakiem. Patrząc wstecz, łatwo przypominał sobie dni, w których musiał kraść, by jakoś przeżyć. Wiele przysmaków, zupełnie codziennych dla jego rówieśników, takich choćby jak dżem truskawkowy, dla niego było zupełnie nieznane. Teraz był współwłaścicielem jednej z najbardziej szanowanych kancelarii prawniczych w kraju, a w spiżarni miał tyle dżemu truskawkowego, ile dusza zapragnie.

Nieświadomie przeciągnął się, aż sprowadzony z Anglii materiał jego świetnie skrojonej marynarki niepokojąco naprężył się na jego szerokich ramionach. Był znudzony. To wyjątkowo dziwne określenie na tak wypełnione, jak jego, życie. A jednak wszystko przychodziło mu za łatwo, od tak dawna nie musiał już o nic walczyć, że aż stało się to nudne. Właśnie nudne. Wszystko toczyło się tak jednostajnie! Może właśnie to było właściwe słowo na określenie stanu, w jakim

się znalazł. Potrzebował jakiejś zmiany, czegoś, co wstrząsnęłoby jego dotychczasowym życiem.

I wtedy pojawiła się ona.

Piękna, tajemnicza kobieta opuściła powieki i spod przymkniętych długich, ciemnych rzęs powtórzyła miękko swoje pytanie: - Ciekawa jestem, czy zechciałby pan zabrać mnie ze sobą do hotelu na noc?

Odwlekając na chwilę odpowiedź, Jerome utkwiał w niej wzrok. Była niewiarygodnie kusząca. Biała materia sukni spływała z wdziękiem z podniesionych modnymi poduszeczkami ramion na strome, pełne piersi. Oczarowany wyciągnął do niej rękę i uśmiechając się powiedział powoli: - Nazywam się Jerome Mailer.

Uścisnęła jego dłoń. - Mam na imię Jennifer. - Gdy to mówiła, maleńki dołeczek pojawił się i zniknął na jej lewym policzku.

- Jennifer...?

- Po prostu Jennifer - odpowiedziała mu, cofając rękę, a jej usta wygięły się w uśmiechu. Tym razem dołeczek przetrwał na jej policzku chwilę dłużej. Wielu mężczyzn mogłoby zapragnąć poświęcić życie na studiowanie tego dołeczka, pomyślał Jerome.

Najpierw wyczuł zapach jej perfum, co już było dziwne w tłocznym, zadymionym barze. Zapach owionął go od tyłu i od razu skojarzył mu się z wiosną. A na zewnątrz była przecież chłodna, jesienna noc!

Miękki materiał jej sukni otarł się o jego ramię, kiedy przechodziła obok niego. Tkanina była biała jak śnieg. Przez chwilę walczył z impulsem, by schwycić jej brzeg i zmiąć w dłoni jedwabną materię. Z dezaprobatą zmarszczył brwi. Co za idiotyczny impuls! Przecież byłoby to zupełnie nie w jego stylu. Nie zdążył jednak dłużej się nad tym zastanowić, cały

pochłonięty obserwowaniem jej, gdy odchodziła od niego, niknąc wśród cieni i dymu, w jaki spowite było wnętrze baru.

Był coraz bardziej zaintrygowany. Ciemne, kasztanowate włosy opadały jej miękką falą poniżej ramion, biała suknia podkreślała smukłe plecy, wąską talię, pełne wdzięku kołysanie bioder. Spódnica sięgała jej do kolan, odsłaniając wyjątkowo zgrabne nogi w ciemnych pończochach z jeszcze ciemniejszym szwem, który dodatkowo podkreślał ich kształtną linię, przyciągając wzrok i kierując go aż do sznurowanych nad kostką pantofelków z odkrytą piętą.

- A zatem, po prostu Jennifer, czy napiłabyś się czegoś?

Potrząsnęła przecząco głową, rozwiane włosy, jak wachlarz opadły jej na oko i policzek. Spoglądając na niego spod tej błyszczącej grzywy, powiedziała: - Chciałabym raczej zapalić papierosa, jeśli miałbyś jednego.

Malutka lampka stojąca na środku stolika rzuciła miękki blask na jej twarz, a widok ten wywoływał w jego lędźwiach intensywne uczucie ciepła. Jerome zawołał kelnerkę i wręczył jej kilka monet. - Paczkę papierosów, poproszę. - Spojrzał na Jennifer. - Czy masz zapalniczkę?

- Nie. - Odgarnęła z czoła włosy dłonią z pomalowanymi na czerwono paznokciami i popatrzyła w ślad za oddalającą się kelnerką, potem odwróciła się do niego i uśmiechnęła zniewalająco, a w drzeniu jej warg była jednocześnie i kokieteria, i dezaprobata wobec własnego zachowania. - Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że tak ci się narzucam?

Wybrała miejsce w rogu, niezbyt daleko od jego stolika, w spokojniejszym kącie sali i usadowiła się tam. Położywszy na blacie małą, płaską torebkę, czarny płaszcz przeciwdeszczowy przewiesiła przez stojącą obok niej ławeczkę, a potem skrzyżowała nogi i rozejrzała się wokoło. Teraz mógł zobaczyć jej profil. Była piękna - ale przecież on i tak już o tym wiedział.

Kelner podszedł do jej stolika, a ona coś zamówiła. Ciekaw był barwy jej głosu. Spodziewał się, że musi on być raczej niski i matowy.

- Obyło się bez użycia siły - uspokoił ją. - Przyglądałem ci się.

- Zauważyłam - odpowiedziała, śmiejąc się leciutko i z wdziękiem. - Ale zauważyłam też, że jest tu także wiele innych kobiet, które starały się zwrócić na siebie twoją uwagę. Jestem chyba jedną z... - szybkim spojrzeniem obrzuciła salę i oblizała wargi. Wargi miała czerwone, wilgotne i bardzo kuszące.

- Nie widziałem nikogo poza tobą - wyszeptał, myśląc o tym, że słusznie domyślał się - jej głos rzeczywiście brzmiał nisko i aksamitnie. Był jak przesiąknięta dymem ciemność.

Kelner wrócił z zamówionym przez nią drinkiem. Z tej odległości nie mógł rozpoznać, co to było, ona w każdym razie nie przywiązywała do tego wagi. Popijała alkohol małymi łykami, intensywnie przyglądając się siedzącym przy barze ludziom.

Nie martwił się za bardzo, że może na kogoś czekać. Tak długo, dopóki kobieta nie była mężatką, respektował jej prawo do uczciwej gry, a zauważył, że ta kobieta nie nosiła obrączki.

W jej brązowych oczach migotało coś nie dopowiedzianego. Znowu się uśmiechnęła, a on czekał, aż na jej policzku pojawi się nieuchwytny dołeczek. Pojawił się i nie rozczarował go.

Kelnerka podeszła do nich, przynosząc paczkę papierosów. Jerome podał jej ogień. Otulając bez cienia zażenowania jego dłoń własną, Jennifer z papierosem w ustach pochyliła się nad zapalką. Była w tym geście kusząca poufałość i jednocześnie zamierzona prowokacyjność kobiety światowej. Koniuszek papierosa rozżarzył się już, ale kiedy Jerome chciał cofnąć rękę, przyciągnęła ją z powrotem i sama

zgasila płomyk, dmuchając na niego leciutko. Jej ręka była w dotyku gładka i chłodna, ale Jerome poczuł, że robi mu się gorąco. Wrzucił zapalnik do popielniczki.

Zaciągnęła się głęboko i podniosła oczy, tak że spotkały się ich spojrzenia: jego - jasnoniebieskie i jej - ciemne, uwodzicielskie.

- Wiesz - szepnęła - ja właściwie nie palę.

- Nie?

- To znaczy paliłam, ale rzuciłam.

- A co cię skłoniło, żeby znowu zacząć?

Machnęła ręką, zostawiając pomiędzy nimi smugę białego dymu.

- Wieczorne podniecenie. Czujesz je?

- Tak - westchnął - czuję.

Pragnął, żeby na niego spojrzała. Nawet z tej odległości odczuwał jej obecność.

Ta kobieta uwodziła go, rzucając fascynujący urok poprzez smugi dymu, obserwował, jak leniwie poruszała ręką, pozornie nawet na niego nie patrząc. Pianista zaczął grać inną melodię Duke'a Ellingtona, „Sophisticated Lady”. Mówiące o romansie słowa, które sobie przypomniał, rozpały jego wyobraźnię.

Na chwilę oderwała od niego wzrok, tak że tylko połowa jej twarzy była oświetlona przyćmionym światłem lampy, a druga pozostawała w głębokim cieniu. Potem znów spojrzała na niego.

- A w związku z tym, o czym mówiłam wcześniej...

Pociągnął duży łyk whisky, palący płyn przepływał mu przez gardło. Trzeba było podjąć jakąś decyzję.

- Nie musimy iść do hotelu. Mam niedaleko stąd całkiem przyjemne mieszkanie.

Jeszcze raz zaciągnęła się głęboko i powoli wydmuchnęła dym. Zauważył, że nie wypaliła jeszcze nawet połowy papierosa.

- Jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu, naprawdę wolałabym hotel.

- Hotel - powtórzył zamyślony.

Jerome nie mógł oderwać oczu od tej kobiety. Szperała w torebce, szukając czegoś lub wyjmując coś. Nie, na pewno czegoś szukała, ponieważ po pewnym czasie wyciągnęła kartę kredytową i zaczęła się jej przyglądać, wodząc po niej palcem. Zastanawiał się, jakie wrażenie wywołałby dotyk jej palców na skórze mężczyzny. Na jego skórze. Czy pogłaskałaby go lekko jak plastikową kartę, czy może jej palce wbiłyby się w jego ciało z niepohamowaną namiętnością?

Jennifer rozłożyła ręce na stole i powiedziała, zniżając głos:

- Trudno mi to uzasadnić, ale byłoby mi wygodniej w hotelu.

Spróbował odepchnąć od siebie uczucie nagłej podejrzliwości. Dlaczego się wahał? Czyż nie na to czekał, od kiedy spojrzał na nią po raz pierwszy?

Nagle poczuł się rozbawiony. Poczuł się zafascynowany. I poczuł, jak bardzo jej pragnie. Chwycił jej rękę i podniósł ją do ust.

- Bardzo tego chcę, Jennifer. Czy moglibyśmy już wyjść? Mój samochód stoi przed barem.

- Tak - zaczęła się podnosić, ale znów usiadła. - To znaczy nie.

Jerome zakręcił szklanką z whisky i odstawił ją gwałtownie. Do diabła! Ta kobieta opętała go, a on nie znał nawet jej imienia. Obejrzał się w jej kierunku. Patrzyła na niego! Patrzyła na niego z wyrachowaniem, zaskakującym w zestawieniu z wrażliwością, którą spostrzegł wcześniej.

Potem rysy jej twarzy znieruchomiały: Utkwiła wzrok w kimś, kto znajdował się za nim. Obrócił się na krześle, by móc śledzić linię jej wzroku. Mogła wpatrywać się w jednego z dwóch mężczyzn stojących obok - siebie przy barze. Pierwszy był drobnej budowy i średniego wzrostu. Sprawiał wrażenie Europejczyka, stał oparty plecami o bar, trzymając szklanę piwa w ręku. Drugi był wyższy. Ubrany był w garnitur z kamizelką, na ramiona zarzucony miał prochowiec. Jerome odwrócił się z powrotem i napotkał jej wzrok. Tym razem nie przeoczył wyrachowania. Spojrzała w inną stronę.

Mijały minuty, a Jerome wpatrywał się w swoją szklanę. Ta pani była naprawdę ponętna. Ostatnio, jeśli czegoś zapragnął, zazwyczaj to otrzymywał. A teraz pojawiła się ona...

Jeszcze raz uległ pragnieniu, by na nią spojrzeć. Nie było jej! Jak mogła tak zniknąć bez śladu? Wiedział, że nie przechodziła przed nim. Nie mogłaby zrobić tego niepostrzeżenie. Wyczułby, że przechodzi. Wyczułby każdą komórką ciała. Do diabła! Jak mógł ktoś, kogo nigdy wcześniej nie spotkał, z kim nigdy nawet nie rozmawiał, kogo nigdy nawet nie dotknął, tak silnie na niego wpłynąć. A ona to zrobiła! A teraz odeszła, a on z zaskoczeniem uświadomił sobie, że razem z nią odeszła część jego samego.

A wtedy nagle pojawiła się znowu za jego plecami i wszystko się zaczęło.

- Nie? - spytał z zaciekawieniem.

- No cóż, chodziło mi o to, że byłoby lepiej, gdybyśmy wzięli taksówkę.

Głęboko zakorzeniony instynkt, który towarzyszył mu od czasów, kiedy jako samotny, zastraszonego chłopiec zakosztował przedwczesnej samodzielności, przebił się przez zmysłowe podniecenie.

- Czy mógłbym spytać, dlaczego?

Jennifer zaśmiała się wyzywająco. - Uwierzyłybyś mi, że po prostu lubię jeździć taksówkami?

- A czy jest jakiś powód, żeby ci nie wierzyć? - odpowiedział z czarującym uśmiechem.

- Nie, oczywiście, że nie. Chodźmy już - zerwała się od stolika.

- Chodźmy.

Jerome rzucił na blat kilka banknotów, wziął swój ciężki trencz, zarzucił go na ramię i podał jej płaszcz przeciwdeszczowy. Była to cienka, czarna impregnowana tkanina, mogąca chronić przed deszczem, lecz chyba tylko przed nim.

- Byłem tu cały wieczór. Czy może padać?

Spojrzała na niego, mrużąc oczy i powiedziała, ledwie otwierając usta: - Zawsze może zerwać się burza. Szczególnie w taką noc, jak ta. Nie sądzisz?

- Myślę, że tak.

Rozdział 2

Jerome zatrzymał przejeżdżającą przed barem taksówkę. - Dobry wieczór - powitał ich taksówkarz. - Dokąd jedziemy? Był to młody człowiek o nieprzyjemnym wyrazie twarzy. Jego nos wyglądał tak, jakby kilkakrotnie był kiedyś złamany. Napis na licencji mówił, że taksówkarz nazywa się Phil Waznoski.

- Niech pan jedzie prosto - powiedziała krótko Jennifer.

- Tak jest, proszę pani - młody człowiek dotknął palcami czapki i włączył licznik. Samochód ruszył. Opierając się łokciem o okno, a głowę podtrzymując kciukiem i palcem wskazującym, Jerome patrzył na nią zamyślony. Jaką grę tu prowadziła? Nawet jeśli nie chciał być podejrzliwy, rozumiał doskonale, że może zostać wplątany w jakiś układ. Był dobrze znany w całym stanie i miał wspólnika, który był doradcą prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mogło być wiele powodów, żeby ktoś chciał spróbować skompromitować jego lub - za jego pośrednictwem - Daniela.

- Masz jakieś propozycje? - zapytał.

- W jakiej sprawie? - odpowiedziała, jakby była myślami tysiące mil stąd.

- Chodzi mi o hotel.

- Nie. Jestem tu od niedawna i nie zaznajomiłam się jeszcze z nazwami hoteli. Ale może poszlibyśmy do jakiegoś większego. Gdzieś nie za blisko miejsca, gdzie teraz jesteśmy.

Jego nieufność nieco się zmniejszyła. Nie odrywając oczu od Jennifer, Jerome powiedział do taksówkarza: - Hotel „Randolph”, proszę.

- Tak jest, proszę pana - odpowiedział młody kierowca.

Przynajmniej pozwoliła mu wybrać hotel. Jak więc miałby ktoś czekać na nich z ukrytą kamerą lub mikrofonem? Odtąd podejrzewał ją już tylko o to, że jest zdolna sama, bez żadnej

pomocy, przeprowadzić swój plan. Udało się jej w końcu wyciągnąć go z baru, czyż nie tak?

Mógł na to spojrzeć na tysiąc sposobów i wszystkie one były interesujące. Kobieta, która mogła być przedmiotem marzeń każdego mężczyzny, wkroczyła w jego życie i poprosiła, żeby zabrał ją na noc do hotelu. Pragnął jej i będzie ją miał. Ale jednocześnie nie chciał osłabiać czujności. Jeśli ktoś tu działał na jego lub Daniela szkodę, Jerome zamierzał go zdemaskować.

Jennifer odgarnęła szeroko rozpostartymi, delikatnymi palcami swe falujące, brązowe włosy i roześmiała się. - Przypuszczam, że nie jesteś przyzwyczajony do kobiet, które mają tak wyraźnie określone preferencje. Mam na myśli pokój hotelowy zamiast twojego mieszkania i taksówkę zamiast twojego samochodu.

Jerome posłał jej długi, enigmatyczny uśmiech i patrzył, jak miliony sprzecznych uczuć malują się po kolei na jej twarzy.

- Po drugie - szepnęła - założę się, że kobiety zawsze mówią ci dokładnie, czego chcą i założę się, że nie sprawia ci trudności, dać im to.

Wyciągnął rękę, żeby odgarnąć jej loki z policzka. - Powiedz mi, Jennifer, czy zawsze mówisz i zachowujesz się tak wyzywająco?

- Przepraszam. Obraziłam cię?

- Wcale nie. Wydajesz mi się tylko coraz bardziej intrygująca.

Nie skłamał. Mimo wszelkich podejrzeń nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek jakaś kobieta tak go fascynowała - nawet wtedy, kiedy mu się zdawało, że nie zwraca już na niego żadnej uwagi. Odwróciła się i przez chwilę spoglądała przez tylną szybę.

- Jennifer?

- Tak?

Uśmiechnął się kpiąco. - Jak powiedziałem, jesteś intrygująca. Siedzisz tu koło mnie - położył jej rękę na plecach - tak blisko, że mógłbym cię dotknąć albo... - przysunął ją do siebie i delikatnie przycisnął wargi do jej ust - pocałować cię. - Położył palec na pełnych wargach, które przed chwilą całował. - Przyznaję, że nie mogę tu i teraz zrobić wszystkiego, co chciałbym z tobą zrobić, ale ta chwila jest bliska.

- Jerome, ja...

- Psst - przycisnął palcem jej miękkie usta, żeby ją uciszyć. - Jesteśmy już prawie na miejscu.

Z jednej strony, Jennifer, wychodząc z taksówki, była zadowolona, że jazda dobiegła końca. Wspólna z Jerome'em podróż na wąskim, tylnym siedzeniu była dla niej denerwującym doświadczeniem. Z drugiej strony, naprawdę zdenerwowana była dopiero teraz, kiedy dotarli już do hotelu i musiała stawić czoło całej masie nowych problemów. Jasnoniebieskie oczy Jerome'a zdawały się widzieć wszystko. A zresztą, czego się spodziewała?

Zauważyła go zaraz po wejściu do baru. Emanowała z niego siła i uczciwość. Elegancko ubrany, z twarzą znamionującą inteligencję i doświadczenie, od razu przykuł jej uwagę. Była zaskoczona, że wywarła na nim takie wrażenie, wydawało się jej to nie w jego stylu, a nawet można rzec - obce jego naturze. Poza rolę, jaką miał do odegrania w jej podstępny planie, nie powinien nic dla niej znaczyć. Ale znaczył. Dlaczego właśnie ten mężczyzna i dlaczego teraz?

Stojąc na podjeździe, kiedy Jerome płacił taksówkarzowi, jeszcze raz skonstatowała, jak bardzo był przystojny, z tymi swoimi włosami koloru rudoblond i pewną siebie miną. Powiedział coś do kierowcy, potem szybko się odwrócił i uchwycił jej spojrzenie. Uśmiechnął się do niej, a ona

uświadomiła sobie, że również się do niego uśmiecha. Jaki ma miły uśmiech, pomyślała.

Szybko podszedł do niej, wziął ją pod ramię i przez wielkie szklane drzwi wprowadził do holu. Wielki Boże, modliła się w duchu, żeby się tylko udało.

- Zaczekaj!

Jerome zatrzymał się i uniósł pytająco brwi. - Nie podoba ci się hotel? Jest doskonały, ale jeśli chcesz, zawsze możemy pójść gdzie indziej.

- Nie, hotel jest sympatyczny - zapewniła go, próbując się skoncentrować na tym, co miała teraz zrobić. Najważniejszy był czas. Ale kiedy on skupił na niej całą swą uwagę, myślała tylko o tym, jak intymnie tańczy po jej ciele jego spojrzenie... i jak uwodzicielsko wyginają się jego wargi. Z wysiłkiem zebrała myśli. - Jest jeszcze jedna sprawa.

- Jak mógłbym zgadnąć? - zauważył: sardonicznie.

- Chciałabym, żebyś przy meldowaniu nie podawał swojego prawdziwego nazwiska.

W jego oczach pojawił się szczególny błysk. - Jakiego nazwiska powinienem, twoim zdaniem, użyć? - spytał ostrożnie.

- Nie wiem. Może Smith. To nie ma znaczenia, o ile nie użyjesz twojego nazwiska.

- W porządku - odpowiedział. - Po zastanowieniu muszę przyznać, że zameldowanie nas jako pana i pani Smith ma swoje zalety. Chodzi mi o to, że uzyskałabyś w ten sposób jakieś nazwisko. Nie chciałbym więcej nazywać cię: „Po prostu Jennifer”. Przyglądał się jej przez długą chwilę i odkrył w głębi jej ciemnych oczu lęk, niemal przerażenie. Zdziwiło go to. - Jak myślisz? Gdybym zawołał do ciebie Jennifer Smith, odpowiedziałabyś?

- Odpowiedziałabym - odrzekła swym niskim głosem, jakby pragnęła brzmiać jak harmonijna melodia tonem, urzec i poruszyć nim.

- Tak - westchnął - ale czy ja się kiedykolwiek zbliżę do twojego prawdziwego nazwiska?

- Proszę cię. To dla mnie ważne.

- Co to ma znaczyć, Jennifer? Po co ci to - taksówka, pokój hotelowy, inne nazwisko? Czy inaczej nie miałabyś odpowiedniego nastroju?

Zaczerwieniła się, ale nadal patrzyła mu prosto w oczy.

- Po prostu zrób to dla mnie, Jerome, proszę.

Zapadła między nimi złowieszczą cisza. Jerome przesunął swym długim palcem po jej karku.

- Proszę pani, mam wrażenie, że jest pani typem kobiety, dla której każdy mężczyzna zrobiłby prawie wszystko.

Wskazano im apartament, o jaki prosił Jerome. Oprócz sypialni i łazienki był tam jeszcze przytulny, luksusowy salonik i obficie zaopatrzone barek z butelkami mrożonego szampana. Oglądając to wszystko, Jennifer doszła do wniosku, że Jerome Mailer przyzwyczajony jest w życiu do korzystania z rzeczy w najlepszym gatunku.

Starając się zyskać na czasie, przespacerowała się dookoła saloniku. Wzięła papierosa z paczki, którą Jerome jej podał, zapaliła go, a jej umysł gorączkowo pracował.

Jerome bez większych oporów zrobił wszystko, o co poprosiła. Była to dla niej sprawa o. życiowym znaczeniu. Na razie wszystko szło dobrze, dlatego więc odnosiła wrażenie, że to on, a nie ona, kontroluje sytuację. Podziwiała go. Gdyby tylko... Gwałtownie zatrzymała się. Byłoby szaleństwem życzyć sobie, żeby spotkali się w innych okolicznościach. Nigdy nie była osobą bujającą w obłokach i nie zamierzała zostać nią teraz. Zbyt wiele miała do czynienia z

rzeczywistymi problemami, a w danej chwili największym z nich był Jerome Mailer.

Ze smutkiem potrząsnęła głową, odwróciła się i napotkała jego badawcze spojrzenie. Zgasła ledwo zapalonego papierosa.

- Czy ten apartament nie jest trochę zbyt ekstrawagancki, jak na jedną noc?

Jerome zdjął marynarkę i przerzucił ją niedbale przez oparcie krzesła. Rozluźnił krawat, rozpiął górne guziki koszuli i położył się na kanapie.

- Niekoniecznie. Nie sądzę, żebym żałował wydanych pieniędzy. - Poklepał leżącą obok poduszkę. - Chodź, usiądź tutaj.

- Za chwilę - odpowiedziała, otwierając drzwi do sypialni, gdzie zwracało uwagę stojące na środku wielkie łóżko. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym się trochę odświeżyć.

Jerome kiwnął ręką przyzwalająco, a ona odwróciła się znowu ku drzwiom.

- Jennifer... - powiedział cicho. Zatrzymała się i spojrzała do tyłu przez ramię. - Tak?

Przynajmniej reaguje na imię Jennifer, pomyślał. Może to jej prawdziwe imię.

- Jadłaś już obiad? - zapytał. - Jesteś może głodna?

- Nie... to znaczy, jadłam jakiś czas temu.

- Jesteś pewna? A może byś się czegoś napiła?

- Tego, co ty - ton jej głosu dawał do zrozumienia, że jest to jej całkowicie obojętne. Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Jerome w zamyśleniu wpatrywał się w zamknięte drzwi. Wszystko to było naprawdę dziwne. Coś się tu działo, coś innego niż wskazywałaby na to powierzchnia zdarzeń - przygodna znajomość dwojga zafascynowanych sobą ludzi.

Pod gładką fasadą, jaką prezentowała Jennifer, jej nerwy były napięte, zbyt napięte.

Ruszył do akcji, okrążając pokój w poszukiwaniu czegoś, co nie byłoby tu na miejscu - urządzeń podsłuchowych i kamer. To prawda, że pozwoliła mu wybrać hotel, ale co by zrobiła, gdyby nie wybrał tego hotelu? Mogłaby nagle powiedzieć, że ma ulubiony hotel i przypomnieć sobie nazwę „Randolph”. Mogła to zaaranżować na tysiąc sposobów. Apartament został wybrany przez recepcjonistę. Gdyby to była operacja zakrojona wystarczająco szeroko, ten człowiek mógłby być w zмовie z Jennifer.

Ileż to razy mówiono mu, że jest zbyt cyniczny, zbyt przezorny, myślał ze smutkiem, zdejmując lustro, które okazało się zwykłym lustrem na ścianie. A ile razy okazywało się, że to on miał rację. Nie mógł sobie jednak przypomnieć żadnej sytuacji, w której tak gorąco pragnąłby, żeby jego podejrzenia nie sprawdziły się. Przez zamknięte drzwi do sypialni usłyszał, jak inne drzwi otwierają się i zamykają. Błyskawicznie znalazł się przy barze i palcami jednej ręki chwycił dwa kieliszki. Drugą ręką wyciągnął butelkę szampana z niewielkiej lodówki. Wtedy wrócił na swoje miejsce na kanapie i przywitał ją.

- Zdecydowałem się dziś na szampana.

Roześmiała się gardłowo i usiadła na najdalszej poduszce kanapy.

- Magnum! Naprawdę myślisz, że damy radę wypić to wszystko?

- Jestem pewien, że tak. Przysunął się do niej. - Jeśli chodzi o mnie, to ta noc będzie bardzo, bardzo długa. Poderwała się, ale zatrzymał ją ruchem ręki.

- Proszę, nie wstawaj - szepnął kusząco.

Ciepło jego dotyku przenikało ją, roztopiając lód, który czuła w kościach przez ostatnie dwa dni. Trudno było nie

odprężyć się pod wpływem jego uroku. Doszła do wniosku, że on musi mieć duże doświadczenie w postępowaniu z kapryśnymi kobietami.

- Opowiedz mi o sobie - poprosił łagodnie.

Natychmiast wróciło napięcie, Jennifer zakłęła w duchu. - Wolałabym nie - odpowiedziała - nie lubię opowiadać o sobie.

Jerome lekko zacisnął czubki palców na jej karku. - Zazwyczaj osoby, które nie lubią opowiadać o sobie, są bardzo interesujące.

. - Nie w moim przypadku. - Pieszczota działała na nią niezwykle podniecająco. - Moja historia jest naprawdę bardzo nudna.

- Zapewniam cię, że będę nią zafascynowany - odparł z uśmiechem. - Powiedziałaś, że jesteś tu od niedawna. Skąd przyjechałaś?

- Z Waszyngtonu - odpowiedziała zgodnie z prawdą, zanim zdążyła pomyśleć o konsekwencjach. Ach, ten jego uśmiech, zupełnie nie pozwalał jej zebrać myśli, a do tego jego palce tak delikatnie cały czas gładziły jej szyję! Działał bardzo pewnie, bardzo subtelnie, a co więcej - bardzo skutecznie. Jennifer zastanawiała się, czy gładka, wrażliwa skóra na jej karku może mu się wydawać szczególnie pociągająca, czy dotyka jej ponieważ nie może się powstrzymać i pragnie jej, czy też tak właśnie wygląda jego sposób uwodzenia kobiet. Miała wrażenie, że mąci się jej w głowie. Ale to przecież nie miało żadnego znaczenia.

- Z Waszyngtonu dystryktu Kolumbii?

- Co mówisz? Ach, nie ze stanu Waszyngton - miała zamiar rozegrać to lepiej. Jennifer, skoncentruj się wreszcie, myślała, Ale jak tego dokonać? Ten mężczyzna zupełnie ją oszalał. Sprawiał, że zapominała o wszystkim, myśląc tylko, jak mogłoby być z nim miło, a przecież nie mogła sobie

na to pozwolić! Od tego zależało jej życie, a teraz może także i jego.

- Masz szczęście. Nie byłem tam nigdy, ale wiem, że to wyjątkowo piękny stan.

- Tak, rzeczywiście jest piękny.

- Jak długo masz zamiar zatrzymać się tutaj?

- Mówiłam ci już. - Ugryzła się w paznokcieć kciuka. Jak na mężczyznę zajętego uwodzeniem kobiety, zadawał straszliwie dużo pytań. - Nie zostanę tu zbyt długo.

- Nie - poprawił ją delikatnie. - Nie mówiłaś tego. Mówiłaś tylko, że jesteś tu od niedawna. To znaczy, właściwie od kiedy?

Musi bardzo uważać na to co mówi. Uważaj, Jennifer, upominała samą siebie. Niezależnie od tego, jak jest to trudne, ten mężczyzna ma wyjątkowo dobrą pamięć. Znowu spytała się w duchu, dlaczego wybrała akurat jego i dlaczego akurat w tym momencie. Co za przekłete szczęście!

Czubeczki jego palców zastygły na wklęsłości jej obojczyka, po czym zaczęły zakreślać wokół niego małe kółeczka. Wzdrygnęła się, a przez jej kręgosłup przeszły fale niezwykłego mrowienia. Najgorsze zresztą było to, że - wiedziała - on wyczuł jej reakcję.

- Co robiłaś tam w barze, Jennifer? - wyszeptał.

Niezrozumiale dla niej samej, jej uwagę przyciągały raczej jego usta niż samo to pytanie. Nie odpowiedziała nic.

- Na kogo tam czekałaś?

Jego dolna warga była nieznacznie pełniejsza od górnej, wyraźnie wykrojonej i ładnie wygiętej.

- Dlaczego przysiadłaś się do mojego stolika?

Jego głos wirował wokół niej, głęboki i ciepły, budząc w niej nie uświadamiane tęsknoty.

- I wreszcie, dlaczego chciałaś tu przyjść?

Wciąż nie odpowiadała na jego pytania, całkowicie sparaliżowana bliskością tego mężczyzny, sposobem, w jaki na nią patrzył, w jaki do niej mówił i jak jej dotykał.

- Jesteś prawdziwą zagadką, Jennifer. Piękną, niezwykle tajemniczą zagadką. Chciałbym zadać ci jeszcze ze sto pytań i pragnąłbym, byś mi na nie odpowiedziała. Ale nawet gdybym to zrobił, mam wrażenie, że i tak nie zechciałabyś mi niczego powiedzieć. - Jego palce odrobinę mocniej zaczęły naciskać jej ciało, błędząc po jej karku, przysunął ją też nieco bliżej do siebie.

Zanim zdążyła pomyśleć, co w ogóle robi, położyła mu rękę na piersi i błyskawicznie złapała się na tym, że nie wie, dlaczego to robiła. Czy musiała ją tam położyć, chcąc go jakoś odepchnąć? Czy przeciwnie, pragnęła wyczuć mocne bicie jego serca ukrytego w szerokiej, męskiej piersi? W końcu i tak nie miało to zresztą znaczenia, ponieważ on ujął czule jej rękę i ucałował wnętrze dłoni.

- Uspokój się - powiedział ledwo dosłyszalnie - naprawdę nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Wargi Jennifer rozchyliły się. Czuła, jak w głębi jej duszy pojawia się jakaś nieodparta tęsknota, jak coś wzywa ją, by poddała się temu nieoczekiwanemu uczuciu, które przepelnia całe jej jestestwo.

Druga ręka Jerome'a niesłuchanie delikatnie ślizgała się po nieskazitelnie białej tkaninie osłaniającej jej biust, by po chwili zacząć głaskać nie przykrytą materiałem skórę powyżej linii dekoltu. - Dałbym milion dolarów, by móc wnikać do twego wnętrza i dowiedzieć się, co ukrywasz w głębi...

- I byłbyś rozczarowany - szepnęła, ledwo mogąc mówić.

- Nie sądzę, zresztą dlaczego nie mielibyśmy poszukać tego razem.

Ten obcy mężczyzna błyskawicznie odkrył, czego pragnęło jej ciało. Rozumiały to jego ręce. A przecież istniały jeszcze jego wargi! Wygięły się w uśmiechu i zbliżyły

leciutko do jej warg, a ich dotyk spowodował, że gnębiący ją niepokój zaczął się powoli rozwiewać.

Pieścił ją językiem, wciągając do płuc jej oddech, pieszczota jego rąk doprowadzała ją do ekstazy. Przyłgnęła do niego cała, a on czując to, uniósł brodę i spojrzał na nią uważnie. Jego oczy były intensywnie niebieskie. Wahał się tylko chwilę i z wyrafinowanym mistrzostwem dotknął ustami jej ust, wsuwając swój aksamitny język coraz głębiej. Przemknęła jej przez głowę myśl, że nigdy jeszcze nikt jej tak nie całował. Potem usłyszała cichy jęk rozkoszy i uświadomiła sobie, że musiał on pochodzić od niej.

Oparł się o poduszki kanapy, a ona chętnie podążyła za nim i na wpół położyła się na górnej połowie jego ciała. Jej suknia i jego koszula były zbyt cienkie, aby mógł nie odczuwać dotyku jej twardniejących sutek. Przesunął się trochę i wtedy poczuł, jak całe jej ciało drży, kiedy jej sutki ocierają się o jego pierś.

Jego znakomicie kontrolowane podniecenie udzielało się i jej. Miała jeszcze tyle samoświadomości, by spostrzec, że on ją niesie powoli i na myśl o tym, że z taką łatwością panuje nad jej ciałem, zagłębiła język w jego ustach.

Odpowiedział jej. Z jeszcze większą siłą zanurzył palce w spletanym jedwabiu jej włosów i pieścił wargami jej wargi.

- Jerome! - jego imię było westchnieniem, pragnieniem, marzeniem złożonym na jego ustach. Opuścił rękę w dół wzdłuż jej pleców i poprzez dżersejową tkaninę zaczął zataczać nią kręgi na jej pośladkach i jednocześnie ocierać się o nią, przyciskając się do niej coraz mocniej. Miała cudowne poczucie rytmu i synchronizacji. Właśnie - niejasno uświadamiała sobie sens tego słowa. Synchronizacja! Wtedy przypomniała sobie. Czas! To nie był odpowiedni czas. Ten mężczyzna, w tym szczególnym momencie, to niemożliwe! Odepchnęła go, a on natychmiast rozluźnił uścisk.

Zaczerpnęła powietrza, wyrównała oddech i powiedziała: - Przepraszam, ale muszę już iść.

- Iść? Co się stało? - spytał Jerome chrapliwym głosem, marszcząc czoło ze zdenerwowania. Odzyskiwał stopniowo panowanie nad sobą, coraz bardziej na siebie wściekły. Jak na kogoś, kto

pragnął zachować przez cały wieczór trzeźwość umysłu, za bardzo pozwolił sobie ulec emocjom. Ale, na Boga, jeśli on dał się porwać czarowi ich pocałunków, to i ona poddała się temu samemu nastrojowi.

Stało się coś bardzo złego! Było to dla niego równie oczywiste jak to, że Jennifer była najwrażliwszą i najbardziej zmysłową kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Wiedział również, że nie pozwoli jej odejść, dopóki nie dowie się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Jennifer - zaczął znowu, ale za chwilę zastygł w bezruchu. Jego uwagę zwróciło stłumione chrobotanie, tak jakby ktoś próbował przekręcić gałkę u drzwi.

To mógł być ktokolwiek. Na przykład ktoś, kto po długiej nocy spędzonej w obcym mieście próbuje trafić do swego pokoju, posługując się niewłaściwym kluczem i nie zdaje sobie jeszcze sprawy z faktu, że manipuluje nim w nieswoich drzwiach. To mogła być nawet pokojówka z nocnej zmiany, która przez pomyłkę wybrała ten apartament do sprzątania. Wszystko to było prawdopodobne, ale Jerome instynktownie czuł, że w tym przypadku chodziło o coś zupełnie innego. Krótki rzut oka na twarz Jennifer utwierdził go w tym przypuszczeniu. Była ona tak samo biała jak jej sukienka.

Błyskawicznie rzucił się do nocnego stolika i zgasił światło. Padając na kolana przy kanapie, ręką zakrył Jennifer usta. Nie widział wyraźnie jej twarzy, ale wyczuł, jak bardzo była ona spięta.

- Nie mów nic i rób dokładnie to, co ci powiem - szepnął.

Dopiero, kiedy skinęła potakująco głową, rozluźnił uchwyt. Jedną ręką wziął płaszcz, a drugą chwycił ją i bezgłośnie doprowadził do drzwi. Przyciskając się plecami do ściany obok framugi, słyszał cichą rozmowę. Cholera! Było ich co najmniej dwóch. Jego oczy zaczynały przyzwyczajać się do ciemności. Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś przydatnego w takiej sytuacji przedmiotu. Zanim jednak zdążył to zrobić, Jennifer porwała nie otwartą butelkę szampana.

Przez chwilę Jerome nie miał pewności, przeciwko komu butelka będzie użyta, zaraz jednak Jennifer stanęła po drugiej stronie drzwi, które w tym samym momencie uchyliły się. Nie miał już czasu, żeby spojrzeć na nią jeszcze raz i upewnić się co do jej zamiarów, ponieważ na podłodze ukazało się jasne pasmo światła z korytarza. Pas światła niedostrzegalnie stawał się coraz szerszy. , Chodźcie, zachęcał ich w duchu. Bądźcie przekonani, że jesteśmy w sypialni, że śpimy albo jesteśmy zbyt zajęci sobą, żeby spostrzec wasze wtargnięcie. Wejdźcie.

Drzwi otwały się szeroko i pierwszy mężczyzna zaczął powoli skradać się do środka. Jerome widział jego plecy, ale zmuszał się do czekania, aż wejdzie drugi. Wiedział, że czekając, naraża się na przedwczesne zdemaskowanie. Ryzykował, ponieważ zależało mu na osiągnięciu zaskoczenia. Ale musiał czekać. Musiał mieć ich obu w zasięgu wzroku, żeby się udało. Czuł, jak pot ścieka mu z czoła, kiedy mijały sekundy, które zdawały się nie mieć końca. To byli zawodowcy, byli niezwykle ostrożni.

Drzwi powoli wracały do poprzedniego położenia. Wszystko mogło się zdarzyć. Mogli się odwrócić i zobaczyć go... lub mogli dostrzec ruch Jennifer za drzwiami.

Teraz! Obaj mężczyźni byli w pokoju. Nie mógł już dłużej czekać.

Wszystko stało się niemal jednocześnie. Kiedy rzucił płaszcz na głowę drugiego mężczyzny, tego, który był bliżej niego, zobaczył, jak trzymana przez Jennifer butelka szampana opada łukiem na tył głowy pierwszego. Rozległ się głuchy odgłos i pierwszy mężczyzna upadł na podłogę. W tym samym momencie Jerome odwrócił drugiego mężczyznę i kopnął go w krocze. Mężczyzna zgiął się we dwoje. Wtedy złączywszy obie dłonie w jedną karzącą pięść, Jerome z całej siły uderzył go w kark.

Jerome zatrzasnął zasuwkę przy drzwiach, zablokował ją i zapalił światło. Pierwszą zobaczył Jennifer, wciąż trzymającą butelkę, i wpatrującą się w dwóch mężczyzn leżących na podłodze. Zachowała zimną krew i zrobiła dokładnie to, o co prosił, pomogła mu nawet, ale kiedy podniosła na niego oczy, było w nich przerażenie. Nienawidził siebie za myśli, które przychodziły mu przedtem do głowy, ale, do diabła, Jennifer miała mu sporo do wyjaśnienia. Przykucnął między leżącymi mężczyznami. Byli to ci sami, którym Jennifer przyglądała się w barze. Zaczął przeszukiwać kieszenie, najpierw jednego, potem drugiego.

- Nie żyją? - spytała drżącym głosem.

- Żyją - odpowiedział, wyjmując jednemu z nich rewolwer kalibru 45 z kabury przymocowanej do ramienia. Zasunął z powrotem prowadnicę, wyrzucając nabój z komory, odłączył magazynek i wsunął go do kieszeni. - Woleliby umrzeć, gdyby mogli przewidzieć, jakie łomotanie w czaszce czeka ich za parę godzin, kiedy się przebudzą.

- W kieszeni mężczyzny znalazł tłumik, ale zostawił go tam. Podobny rewolwer znalazł na podłodze obok wyciągniętej ręki drugiego mężczyzny - rozładował go w ten sam sposób. - Jak widzisz, cokolwiek im zrobiłaś, jest to niczym w porównaniu z tym, co najwidoczniej przygotowywali dla nas. - Tu przerwał dla uzyskania lepszego

efektu i dodał: - Lub, być może, dla mnie? Czy ci dwaj nie są przypadkiem twoimi przyjaciółmi?

- Przyjaciółmi? Oczywiście, że nie!

- Naprawdę? - zdziwił się. - Dobrze, w każdym razie porozmawiamy o tym później. - Pozbawiwszy ich broni, Jerome obszukał ich, żeby ustalić ich tożsamość, ale obaj nie mieli żadnego dokumentu. Szukał metek na odzieży. Nie było żadnej. Jediną rzeczą, jaką znalazł oprócz broni, był gruby plik banknotów. Sprawa była jasna: miał do czynienia z zawodowymi mordercami.

- W porządku, to jest to. Zamierzam zadzwonić na policję. Chętnie popatrzę, co zrobią z tymi dwoma. Wstał, ale Jennifer schwyciła go za ramię. - Nie możesz tego zrobić. Musimy stąd iść. Jest całkiem

możliwe, że ci dwaj nie byli sami.

- Na pewno? - spojrzał z góry na jej dłoń zaciśniętą na jego ramieniu, a potem podniósł wzrok na spotkanie jej wielkich, brązowych oczu. - Wiesz, do pewnej chwili przypuszczałem, że to będzie jeden z najbardziej interesujących wieczorów, jaki zdarzy mi się od wielu lat. Niemniej jednak dzwonię na policję.

- Czy ty mnie słyszysz? Musimy stąd wyjść. Ci ludzie są niebezpieczni.

- Powiedz mi coś, o czym nie wiem, kochanie.

- Nie mogę. To znaczy... nie ma o czym mówić.

- Myślisz, że może ich być więcej i że są niebezpieczni?

- Słuchaj. Nie mamy czasu, żeby tu sobie stać i gadać. Jeżeli ty nie zamierzasz stąd wyjść, to twoja sprawa. Ja zamierzam.

- Aj, aj, kochanie. Wybij to sobie z głowy. Nie odejdziesz ode mnie dalej niż na krok, zanim się nie dowiem, co się tu do cholery dzieje.

- W porządku, niech będzie - na znak zgody uniosła do góry drżącą rękę. - Powiem ci, ale tylko wtedy, jeśli obiecasz, że nie zadzwonisz na policję, dopóki nie skończę. I nie tutaj.

Mówiła to bardzo podniesionym głosem. W każdym razie, Jerome doszedł do wniosku, że było to dla niej bez wątpienia trudne doświadczenie. Przesunął dłonią po jej włosach i jeszcze raz spojrzął na obu mężczyzn. Ci na razie nigdzie się nie wybierali. - Zgoda. Zejdziemy po schodach do wyjścia służbowego. Miejmy nadzieję, że nie wałęsają się tam ich przyjaciele.

- Dokąd pojedziemy?

- Do mnie.

Rozdział 3

- Usiądź tutaj wygodnie. - Jerome wskazał jej miejsce na głębokiej, pokrytej poduszkami sofie.

Byli już w jego mieszkaniu znajdującym się na samym szczycie nowoczesnego drapacza chmur. Jennifer z wdzięcznością upadła na miękką jak puch, zamszową kanapę, wtulając głowę w oparcie. Ach, gdyby mogła zamknąć oczy i zasnąć, zasnąć na setki lat! Gdyby tylko mogła tak zrobić, to może, może po przebudzeniu, mogłaby uznać, że wszystko to, co się stało, było jedynie sennym koszmarem, zwykłą ułudą. Wiedziała jednak, że nie może nawet marzyć o spaniu. Jeszcze nie teraz. Musi stawić czoła wszystkim tym pytaniom, które zechce postawić jej Jerome. Miała wrażenie, że godzina, która ją czeka, stanowić dla niej będzie cięższą próbę niż doświadczenia ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Zdawała sobie doskonale sprawę z faktu, że przeżyła wstrząs, jednocześnie czuła jeszcze strach i znużenie w każdym kawałeczku ciała, za wszelką cenę starała się jednak zachować jasność umysłu, choćby na chwilę dłużej.

Jerome stał po drugiej stronie pokoju, przy biurku, z ręką, przez którą przewieszoną miał marynarkę, wspartą na biodrze, w pozie znamionującej wystudiowaną arogancję. Szybko i bez wysiłku znokautował drugiego napastnika, a potem chłodno i spokojnie rozbroił obu mężczyzn. Podejmował decyzje w ułamku sekundy i działał z godnym podziwu refleksem. Zastanawiała się jakim był mężczyzną, a potem poczuła coś na kształt zdumienia na myśl o tym, że to, co sobie zaplanowała, może przynieść oplakane skutki, których na początku nie była w stanie przewidzieć.

Sięgnął po telefon, a w jej myślach błyskawicznie zapanował paniczny wręcz strach. - Nie dzwonisz chyba na policję, prawda?

Błękitne oczy patrzyły na nią bez cienia litości, zimne jak stal. - Ron - powiedział do słuchawki - zostawiłem swój samochód obok „Charliego”. Czy mógłbyś wysłać kogoś, by mi go przyprowadził? Uhm, tak będzie znakomicie. Jestem w domu. Zostawiłem klucze na dole u portiera i uprzedziłem go, że ty albo któryś z twoich ludzi zgłosi się po nie. Jeśli to nie będziesz ty, zadbaj tylko, by ten ktoś miał odpowiednie dokumenty i nie będzie sprawy. Świetnie. Dziękuję, Ron. - Odłożył słuchawkę, cały czas patrząc na nią z namysłem. - Mówiłem ci przecież, że nie mam zamiaru dzwonić na policję.

- Dziękuję ci. Doceniam twoją dobrą wolę. - Nie mogąc już dłużej znieść jego spojrzenia, schyliła głowę, a jej ręce niespokojnie mięły ciemnozielone, zamszowe obramowanie kanapy. - Kto to jest Ron?

- To jeden z moich pracowników. Kieruje ludźmi, którzy sprzątaję biuro, robią generalne remonty lub cokolwiek innego, co jest nam w danym momencie potrzebne.

- Nam? - spojrzała na niego zaciekawiona.

- Mojemu wspólnikowi i mnie... mamy firmę prawniczą. - Obrócił się w kierunku wyłożonego kawałkami luster baru z drzewa tekowego. Nie pytając o zgodę, zaczął nalewać dla niej drinka.

Prawnik! Jennifer powtarzała to sobie w duchu. Znakomicie! Mogłoby być gorzej chyba tylko wtedy, gdyby natrafiła na policjanta! Wdzięczna losowi, że jego uwaga skupiona była w tej chwili gdzie indziej, Jennifer skorzystała ze sposobności, by rozejrzeć się po pokoju. Wyglądał tak samo jak jego właściciel - urządzony był tradycyjnie, kosztownie, wygodnie i bardzo po męsku, z jednym tylko wyjątkiem: w kącie pokoju stał zdumiewający, olbrzymi, przepiękny drewniany koń na biegunach! To naprawdę niesamowite, pomyślała. Ten koń zupełnie nie pasował bowiem do reszty pokoju..., a także do tego, czego już zdążyła

dowiedzieć się o mężczyźnie, który nazywał się Jerome Mailer.

Po raz pierwszy tego wieczora uświadomiła sobie, że od razu była pewna, że Jerome nie jest żonaty. Na jakiej podstawie tak sądziła? Pomyślała, że musi dowiedzieć się czegoś więcej o jego sytuacji. - Czy ty... mieszkasz tu sam? - spytała. ,

- Zupełnie sam. - Mówiąc to, podszedł do niej i wręczył jej szklaneczkę brandy.

Nagle doznała olśnienia. Choć tak na pozór bezpośredni i czarujący, Jerome w rzeczywistości był człowiekiem pełnym rezerwy. Było to, co prawda, ledwo dostrzegalne, ale tę rezerwę można było wyczuć w sposobie jego zachowania. Żył dla siebie, stosując się do wyznaczonych samemu sobie reguł. - I lubisz chyba być sam, nie myślę się?

- Wypij to - powiedział rozkazującym tonem. - Wygląda na to, że właśnie tego potrzebujesz. Usiadłszy obok niej, obserwował ją uważnie, dopóki nie wypićła wszystkiego. Leciutki, morelowy

, rumieniec zabarwił z powrotem jej twarz i Jerome, sam nie wiedząc, co robi, delikatnie pogłaskał ją palcem po policzku. Wzdrygnęła się ledwo dostrzegalnie, ale wyczuł to i cofnął rękę, z trudem panując nad drżeniem palców.

- Czy możesz mi już powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Koncentrując całą swą uwagę na szklance, którą trzymał w dłoni, odpowiedziała: - Może byłoby lepiej, żebyś nie wiedział niczego. Naprawdę nie musisz mieć z tym nic wspólnego.

Jerome wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyciągnął stamtąd dwa magazynki do czterdziestek piątek. Kładąc je na stoliczku do kawy, z całej siły przycisnął je do blatu. - A jednak już mam z tym coś wspólnego - oświadczył z powagą.

Jennifer przełknęła kolejny łyk brandy.

- Jestem prawnikiem - powiedział ochryplym głosem. - To znaczy, jestem przyzwyczajony do działania zgodnie z prawem, a chwilę temu zostawiłem dwóch nieprzytomnych mężczyzn leżących na podłodze hotelowego pokoju, który sam wynająłem, i wyszedłem, nie zawiadamiając o niczym policji. Takie zachowanie naraża na szwank moją zawodową reputację. Zaczynaj więc lepiej mówić, o co tu chodzi, albo rzeczywiście będę musiał zawiadomić policję o tym, co się stało.

Schyliwszy z powrotem głowę, powiedziała niskim głosem:

- To był... mój mąż.

Jerome zastygł nieruchomo.

- Czy możesz jeszcze raz powtórzyć to, co powiedziałaś?

Nieznacznie uniosła głowę.

- To był mój mąż. To on nasłał na mnie tych dwu mężczyzn.

Całkowita cisza, potem grom z jasnego nieba:

- Jesteś mężatką!

Kiwnęła potakująco głową, jej brązowe oczy uważnie badały jego reakcję.

Jerome zerwał się z kanapy i rzucił gwałtownie w stronę baru, by nalać sobie kolejnego drinka. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Do diabła! Nie chciał wierzyć w to, co przed chwilą usłyszał! Ta piękna kobieta, z którą, niewiele brakowało, mógł się kochać godzinę temu, była mężatką! Odrzucając butelkę whisky, odwrócił się do niej gwałtownie. - Naprawdę lepiej zrobisz, kochanie, jeśli zaczniesz wreszcie tłumaczyć mi to wszystko, bo jeśli tego teraz nie zrobisz, czuję, że mogę ulec nieodpartej pokusie, by

skręcić ci twój śliczny kark. A na początek podaj mi swoje nazwisko.

- Na imię ma Jennifer - zaczęła. - Naprawdę - dodała, widząc na jego twarzy wyraz niedowierzania. - Jennifer White. Mój.. mój mąż ma na imię Richard. Dwa dni temu... opuściłam go. To wszystko jest takie proste.

- Proste? - krzyknął powątpiewająco. - Na jakim ty świecie żyjesz! Mów dalej. Na przykład, dlaczego go opuściłaś?

- Richard i ja... byliśmy małżeństwem tylko kilka miesięcy, gdy odkryłam, że on jest uwikłany w różne podejrzone interesy. Powiedziałam mu wtedy, że chcę od niego odejść, ale nie chciał nawet o tym słyszeć. Więc odeszłam. Podjęłam decyzję pod wpływem chwilowego impulsu. Nie wzięłam ze sobą nic więcej ponad to, co mam na sobie i bardzo niewiele pieniędzy. Do czasu, gdy zobaczyłam ciebie, dwa dni byłam już w drodze.

Jerome siedział na fotelu naprzeciwko sofy, pocierając czoło, tak jakby ten gest mógł mu dopomóc w rozjaśnieniu myśli i przyswojeniu sobie wszystkich tych informacji. Do diabła! Dlaczego tak go to zaskoczyło? Czy nie podejrzewał od początku, że kryje się za tym coś niepokojącego, od razu, od momentu, kiedy Jennifer podeszła do jego stolika? Przecież spodziewał się właśnie czegoś takiego. Dlaczego więc czuje się teraz tak, jakby ktoś obracał wolno nóż w jego wnętrznościach?

Jennifer nerwowo splatała i rozplatała palce. - Tobie nic teraz nie grozi.

- Jeśli czekasz na to, że powiem, jak bardzo mnie to cieszy, to możesz się przeliczyć.

- Ja... - z trudem przełknęła ślinę - ja wiem, że tych dwóch mężczyzn jechało ze mną ostatnie dwa dni. Kilkakrotnie mogłam ujrzeć ich w przelocie, wiesz, jak to jest

- jeden w marynarce określonego kroju i koloru, drugi miał taki charakterystyczny chód. Za dużo tego było, żeby to mógł być przypadek. - Wzdrygnęła się na myśl o tym, że cały czas była obserwowana. - Było w nich coś takiego groźnego. Kiedy tylko zorientowali się, że się ich boją, zaczęli zachowywać się jeszcze bardziej agresywnie.

Załamana ręce w proszącym geście, a czerwony lakier jej paznokci załśnił na tle białej sukni jak płomień tańczący na śniegu. - Spróbuj mnie zrozumieć. Byłam zrozpaczona. Nie miałam już prawie pieniędzy, a bałam się korzystać z karty kredytowej, żeby nie zostawiać za sobą śladów. Cieszyłam się, że ich zgubiłam, kiedy weszłam do baru. Nagle zobaczyłam, że wchodzi do środka. Nie mogłam mieć pewności, bo było tłoczno, sam wiesz, ale czułam, że to na pewno oni. Spróbowałam wydostać się tylnym wyjściem, ale bar musiał właśnie odbierać jakąś dostawę lub coś w tym rodzaju, ponieważ wyjście było zablokowane. Wtedy zdecydowałam się podejść do twojego stolika.

- Ach, więc teraz dobrnęliśmy do mojego udziału w twoich wieczornych rozrywkach. Powiedz mi - spytał śmiertelnie poważnym tonem - dlaczego ja?

- Zauważyłam cię już wcześniej... - Jej głos załamał się, ale po chwili znowu zabrzmiał mocno. - Kto wie? Nie jestem pewna, czy mogę ci powiedzieć.

- Spróbuj.

- Kiedy jesteś w niebezpieczeństwie, na sali pełnej ludzi, instynktownie szukasz kogoś, kto wygląda na kogoś takiego, kto... mógłby ci pomóc... Wyczułam w tobie siłę i uczciwość. I oczywiście ty nie byłeś mną zainteresowany. Nie zwracałeś uwagi...

- ... na nikogo oprócz ciebie.

Spróbowała stłumić drżenie pleców, wywołane szorstkim brzmieniem jego głosu. - Zaproponowałam hotel, bo

myślałam, że tak będzie bezpieczniej. Nie chciałam cię w to wciągać...

- Nie chciałaś mnie wciągać?

- Naprawdę wierzyłam, że wszystko pójdzie dobrze. - Uniosła głowę w obronnym geście. - Rozumowałam w ten sposób: jeśli weźmiemy taksówkę, zamiast jechać twoim samochodem, nie będą mieli szans spisania jego numerów rejestracyjnych. A gdyby, co wydawało mi się nieprawdopodobne, udało im się ustalić, dokąd pojechaliśmy, sądziłam, że ochroni nas zameldowanie pod fałszywym nazwiskiem.

- No cóż, Jennifer White, najwyraźniej twoje rozumowanie pozostawiało sporo do życzenia. - Pociągnął ostatni łyk whisky ze szklanki i wpatrywał się w jej dno ze smutkiem niezbyt pasującym do tej groteskowej sytuacji. - Czy ani przez chwilę nie przyszło ci do głowy, żeby mi zaufać i poprosić o pomoc?

- Nie chciałam...

- Wiem. - Jerome uniósł rękę w geście zrezygnowanej akceptacji. - Nie chciałaś mnie w to wciągać. Jestem pewien, że twoje intencje były godne podziwu. - Przyglądał się jej przez chwilę - Mam pytanie. Czy gdyby wszystko potoczyło się tak, jak się spodziewałaś, poszłabyś ze mną do łóżka?

Podniosła swe brązowe oczy i napotkała jego wzrok, jej spojrzenie pełne nie ukrywanej zmysłowości poważnie naruszało jego równowagę wewnętrzną. - Tak! - powiedziała cicho. To jedno słowo trafiło w niego niczym gorący świetlisty pocisk. Nie mógł niczego powiedzieć. Wtedy Jennifer wstała. - To chyba wszystko, pójdę już.

- Gdzie ty, u licha, chcesz iść! Siadaj tu! Usiadła.

Jerome niecierpliwie pocierał się dłonią w tył głowy. - Powiedz mi jeszcze, pani White, cóż takiego robi pan White, że musi wynajmować do swoich interesów rewolwerowców?

- Nie... nie jestem pewna, ale na pewno nie były to rzeczy w stu procentach uczciwe...

Kiedy jej słuchał uderzyła go znów jej bezbronność i wrażliwość, i pomimo wściekłości, jaką odczuwał z powodu jej wykrętów, wzruszyło go to bardziej niż cokolwiek innego od wielu lat. Co prawda była tylko jedna zewnętrzna oznaka tej wrażliwości. Plecy Jennifer były proste i nieruchome, ale palce ciągle gięły się i prostowały. Jerome wiedział, że gdyby przytknął rękę do jej szyi, wyczułby szaleńcze uderzenia pulsu. Zapragnął położyć dłoń na jej dłoni, uciszyć jej niepokój, wziąć ją w ramiona...

Mówiła dalej. - Dziwni ludzie przychodzili do nas o każdej porze dnia. Pieniądze z ręki do ręki... Ciągłe się przeprowadzaliśmy. Richard nigdy nie chciał mi powiedzieć, o co właściwie chodzi, ale ja wiedziałam, że nie mogę tak dłużej żyć.

- Czarujący facet - powiedział spokojnie Jerome. - Ciekaw jednak jestem, dlaczego za niego wyszłaś i rozpoczęłaś takie życie.

Wzięła torebkę i wyciągnęła z niej następnego papierosa, zapaliła go, ale zaraz zapomniała o nim. - Kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy, nie był taki. Rzecz jasna, znaliśmy się od niedawna, nasze narzeczeństwo nie trwało długo, ale wtedy wszystko wydawało mi się takie romantyczne.

Jerome poczuł wewnątrz jakiś nie znany mu dotychczas ból. - Jakie to wzruszające.

Nieświadomie wyciągnęła do niego rękę. - Tak mi przykro, że cię w to wszystko wmieszałam. Masz wszelkie możliwe powody, żeby się na mnie gniewać, ale teraz rozumiesz, dlaczego nie chciałam, żebyś zadzwonił na policję, prawda?

- Martwi mnie to wszystko, Jennifer, a szczególnie to, co zdarzyło się dzisiaj. Jeżeli boisz się męża, policja mogłaby ci pomóc.

- Nie - gwałtownie potrząsnęła głową. Absolutnie nie. Nie chcę afiszować się z moimi rodzinnymi problemami przed gromadą jakichś obcych ludzi. Sama się w to uwikłałam i sama muszę się z tego wydostać.

Jakaś część jego duszy podziwiała jej niezależność w podejściu do tej sprawy. Z drugiej jednak strony, Jerome wiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by zaakceptowała jego pomoc.

- Czy nie masz żadnej rodziny albo jakichś przyjaciół, do których mogłabyś zadzwonić lub jechać i którzy mogliby ci jakoś pomóc? - spytał ją, uświadomiwszy sobie, że niezależnie od tego, co ona mu odpowie; pragnie zatrzymać ją przy sobie.

- Nie, nie mam.

Przez cały ten czas Jennifer nie pamiętała o swoim zapalonym papierosie. Strzepnęła go dopiero wtedy, gdy popiół ogarnął prawie połowę jego długości. Nagle Jerome spojrzał na jej lewą rękę. - Gdzie masz swoją obrączkę? - zapytał gwałtownie.

- Jest w... w mojej torebce. Zdjęłam ją w barze i schowałam. - Zaczerwieniła się pod wpływem jego ponurego wyrazu twarzy. - Jerome, chciałabym cię prosić o pewną przysługę.

- Słucham.

Jennifer nabrała tchu. Była wściekła na siebie, że musi tak zrobić, ale była naprawdę przyparta do muru. - Czy mogłabym zostać u ciebie na noc? Jestem zupełnie wykończona. Muszę trochę odpocząć, żeby spróbować wymyślić, co mam dalej ze sobą począć. Obiecuję ci, że nie zostanę dłużej i jutro rano ruszę w dalszą drogę. Nie sprawię ci już więcej żadnego kłopotu.

- Ależ oczywiście, wierzę w to - powiedział zgryźliwie, bez żadnego powodu nagle zły na siebie, że tak mu na niej zależy i zły na nią, że jego osoba wcale jej nie obchodzi.

Jennifer uznała, że mimo wszystkich jej wyjaśnień, on dalej myśli o niej jak najgorzej, ale nie winiła go za to. Łzy, które powstrzymywała przez dwa długie dni i dwie długie noce, wytrysnęły strumieniem z jej oczu. Starła się jakoś uspokoić, ale już dłużej nie miała siły opierać się rozpacz. Potoki łez spływały jej po policzkach.

- Och, do licha - Jerome mruzczał przerażony - nie płacz już. - Nie był zupełnie pewien, czy jej szloch nie był udawany, ale wstał, podszedł do niej i wziął ją w ramiona, kołysząc tam i z powrotem.

- Czy miałeś już kiedykolwiek przedtem do czynienia z tak okropnie zapłakaną kobietą? - spytała poprzez łzy.

- No pewnie. - Pogrzebał w kieszeni i wyjął z niej chusteczkę. - Wiele razy.

- W takim razie mój płacz na pewno nie będzie ci wcale przeszkadzał - skostatowała pół serio, szlochając dalej.

- Nie - odparł zwięźle - w najmniejszym stopniu.

Wtuliła mocniej tył głowy w zagłębienie jego ramienia, w ten sposób mogła widzieć go lepiej mimo pełnych łez oczu. Oparta wygodnie o jego szeroką pierś, w objęciach mocnych ramion, poczuła mimo wszystko, że jest jej tu naprawdę przyjemnie. Nie powinna jednak pozwolić, by to uczucie za bardzo ją ogarnęło. - Więc co teraz? - spytała.

- A skąd, u diabła, mam wiedzieć. - Uśmiechnął się do niej, ale w jego oczach nie było nawet cienia wesołości. - Och, u licha, Jennifer, oczywiście, że możesz tu zostać - zreflektował się od razu, domyśliwszy się, o co jej chodzi, i delikatnie dotknął jej włosów. - Prawda jest taka, że gdybyś mnie nawet o to nie prosiła, i tak nalegałbym, byś tu została.

Masz rację. Potrzebujesz wypoczynku, a tu będziesz bezpieczna.

- Dziękuję ci - szepnęła, ocierając zabląkane jeszcze w kącikach oczu łzy. Zmusiła się w końcu do tego, by wysunąć się z jego objęć i obiecała: - Dołożę wszelkich starań, by zniknąć z twego życia i jutro stąd odejść. Czy masz jakieś gościnne łóżko?

- Nie - w jego oczach zabłyśły figlarne błyski - nigdy nie zapraszam tu takich gości, którzy choćby przez kwadrans chcieli spać w łóżku beze mnie.

- A jeśli twoja matka chce przenocować u ciebie?

- Nie mam matki - powiedział, chcąc uciąć ten temat.

Spojrzała na niego z zastanowieniem. Jeszcze nigdy nie słyszała w jego głosie tak szczególnego tonu. Zabrzmiało to jakoś tak defensywnie. - W takim razie będę spała na kanapie.

- Nie, nie zgadzam się na to - oświadczył stanowczo, wstając. - Mam jedną sypialnię i to tam będziesz spała przez najbliższe parę nocy, jak sądzę. A ja prześpię się na kanapie.

Jennifer wcale nie chciała ustąpić. Potrząsnęła przecząco głową i stanęła obok niego. - Absolutnie nie zgadzam się, byś mówił mi, co mam teraz zrobić. Powiedziałam ci, że nie sprawię ci kłopotu i wcale nie zmieniłam zdania. Nie ma mowy, to ja będę spać na kanapie.

Jerome wpatrywał się w stojącą przed nim kobietę jednocześnie zdziwiony i zmieszany. Przed chwilą tak zapłakana, tak po dziewczęcemu wrażliwa, teraz wydawała polecenia ze stanowczością godną prowadzącego musztrę sierżanta. Doszedł do wniosku, że próby zrozumienia charakteru Jennifer White mogą doprowadzić mężczyznę do pewnego obłądu. - Już dobrze, dobrze, rób, jak chcesz - zamruczał. - Zaraz przyniosę pościel.

- Jerome? - jego imię wymknęło się jej, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Tak?

Wiedziała, że to, o co chce go zapytać, jest zupełnie nie na miejscu, ale tak czy owak spytała: - twoje mieszkanie... jest bardzo miłe i pięknie urządzone - wahała się jeszcze. - Szczególnie podoba mi się ten koń na biegunach, chociaż on troszkę nie pasuje do reszty pokoju. Czy ty sam go wybrałeś, czy zaproponował ci go dekorator wnętrz?

Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy. - Sam urządziłem moje mieszkanie, a koń na biegunach jest prezentem od przyjaciela.

Od przyjaciela? Jennifer nie mogła się powstrzymać od pomyślenia o osobie, która mogła wpaść na pomysł wręczenia takiego prezentu. To musiał być dla Jerome'a ktoś naprawdę bliski, jeśli przyjął on od niego ten dar i umieścił go na tak eksponowanym miejscu w swoim salonie. I to musiała być kobieta, bo mężczyźni nie przyszłoby do głowy wręczyć coś podobnego. I co w ogóle miał oznaczać ten prezent? O coś przecież musiało tu chodzić! Podeszła do konia i, tak jakby było to żywe stworzenie, pogładziła jego gładką, drewnianą powierzchnię. Był odrobinę wyższy od niej i wydawał się bardzo masywny. Pomalowany na kolor śmietankowy, a jego rozwiana grzywa i rozwichrzony ogon pomyślane były w ten sposób, by każdemu kojarzyły się z koniem pędzącym w pełnym galopie. Na jego grzbiecie umieszczone było rdzawoczerwone siodło, a spleciony w warkocz złoty sznur służył za uzdę. Bieguny, na których stał koń były barwy stonowanego błękitu.

Jerome podszedł do niej i stanął przy końskim łbie. Naturalnym ruchem jedną ręką objął go za szyję.

- Naprawdę jest wspaniały - zauważyła szczerze Jennifer. - Dlaczego go dostałeś? Jerome rozchmurzył się nieco. - Mój przyjaciel doszedł do wniosku, że przyda mi się w życiu

trochę fantazji. - W jego niebieskich oczach pojawiły się cieplejsze błyski.

- Twój przyjaciel ma rację. Każdemu potrzebna jest odrobina fantazji.

- Myślę, że bardzo miło byłoby jej to słyszeć - podsumował sucho Jerome. - Ona jest wielką miłośniczką życia z fantazją.

A więc słusznie się domyślała, że tego konia podarowała mu jakaś kobieta, a ponieważ nie był to zwykły, przeciętny prezent, więc i kobieta musiała być raczej niezwykła. Zrobiło się jej przykro.

- Nigdy w życiu nie widziałam tak dużego konia na biegunach. Jak w ogóle dziecko mogłoby na niego wsiąść?

- Ten koń nie został zrobiony dla dziecka. - Uśmiech, który przedtem błąkał się na jego wargach, teraz znikł prawie błyskawicznie.

- Nic nie rozumiem. Dla kogo został on więc zrobiony?

Przez chwilę Jerome nie odpowiadał na jej pytanie, a potem wyrzucił z siebie jednym tchem: - Został zrobiony dla mężczyzny, który, gdy był dzieckiem, nie miał żadnych zabawek. - Spojrzał na nią, a ona mogła się przekonać, że tym razem w jego oczach nie ma już ani odrobiny ciepła. - Przyniosę ci już pościel. Jennifer patrzyła za nim, jak wychodzi z pokoju, z całego serca pragnąc, by wrócił i opowiedział jej coś więcej. Nie marzyła o niczym innym, chciała tylko słuchać opowieści o małym chłopcu, który nie miał zabawek i o mężczyźnie, który wyrósł z tego chłopca.

Godzinę później Jerome rzucał się niespokojnie w swoim szerokim łóżku. Mimo że strasznie zmęczony, w ogóle nie mógł zasnąć, po prostu ani przez chwilę nie przestawał myśleć o Jennifer. Jej obraz stale miał przed oczyma.

Nie mógł zapomnieć, jak miękko i płomiennie wtuliła się w jego ramiona i z jakim uczuciem jej wargi rozchyliły się na

spotkanie jego warg. Nie mógł zapomnieć zapachu, który zachwyił go, zanim ją jeszcze w ogóle zobaczył, ani uroku, który roztaczała wokół siebie, gdy po raz pierwszy pojawiła się przed jego oczami. Nie mógł zapomnieć sposobu, w jaki zapalała papierosa, ani tego jak odkładała go, wcale nie wypaliwszy. I wreszcie nie mógł zapomnieć, jak bardzo była zgnębiona, gdy płakała.

Wpatrując się w zamknięte drzwi od swojego sypialnego pokoju, zastanawiał się, czy Jennifer już zasnęła. Zlekceważył wewnętrzny głos, który mu mówił, że zachowuje się jak wariat pragnąc zobaczyć ją jeszcze raz, zanim zaśnie, i uznał, że nie zaszkodzi ją sprawdzić.

Włożył szlafrok i bezszelestnie otworzył drzwi. Salon pogrążony był w cieniu z wyjątkiem jednej lampy koło kanapy. Jennifer stała bokiem do niego, na jednej nodze, drugą wznosząc do góry i opierając stopę o krawędź kanapy. Była w samej koszuli i pochyłona rozwiązywała paski pantofla na kształtnej kostce. Jedwabny materiał jej krótkiej szaty migotał przy każdym ruchu. Jerome poczuł, że zaczyna mu brakować tchu.

Zrzuciła pantofelek na podłogę, zmieniła nogę na krawędzi kanapy i pochyliła się do drugiego pantofelka. Włosy opadały jej miękkimi falami z nie określonego miejsca na czubku głowy, a światło lampy prześwietlało je. Lamowana koronkami koszula kończyła się w połowie uda. Kiedy Jennifer się pochyliła, zobaczył skrawek obcisłych majtek okrywających jej słodko wygiętą pupkę.

Jerome spostrzegł, że pięści ma zaciśnięte i schował je do kieszeni akurat w momencie, kiedy Jennifer zrzuciła drugi pantofelek. Znowu zmieniła nogi i włożyła rękę pod koszulkę, aby odpiąć pończochy. Musiała nosić podwiązki.

Podwiązki! Nie znał żadnej kobiety, która by nosiła pas i podwiązki. Fala namiętności ogarnęła go z taką siłą, że nie był

pewien, czy utrzyma się na nogach. Jak bardzo chciał się z nią kochać! Czuł się nabrzmiały i już prawie w niej. Ale ona była mężatką. Mężatką!

Nadal nie dostrzegając go stojącego w ciemności, Jennifer zaczęła zdejmować pierwszą pończochę. Potem zdjęła drugą. Przypomniawszy sobie teraz ciemne pończochy, które po raz pierwszy zauważył w barze, kiedy od niego odchodziła. Szwy wydawały się nawet ciemniejsze!

Jakiś ruch, jakiś dźwięk, coś nieuchwytnego, skłoniło ją do odwrócenia się, zobaczyła Jerome'a poruszającego się w cieniu i serce zaczęło uderzać jej w przyśpieszonym rytmie. Jerome miał na sobie długi do kolan aksamitny szlafrok. W wycięciu szyi widać było szorstkie, kręjące się włoski złocistorudego koloru, takie same włoski Jennifer zobaczyła na jego gołych nogach. Pończocha, którą trzymała, wypadła jej z rąk i osunęła się na podłogę.

Jerome zatrzymał się tuż przy niej, jego oczy aż lśniły, wiedział, że nie jest w stanie opanować wyrazu głodu, który czai się w ich kącikach. - Czy masz wszystko, czego potrzebujesz, Jennifer?

- Tak, oczywiście, dziękuję - wyszeptała i dodała całkiem bez sensu: - szykowałam się już do łóżka.

- Właśnie widzę. - Schylił się, by podnieść z ziemi jej porozrzucane pończochy i zupełnie nie wiedząc co robi, zaczął miąć w palcach cienki jak pajęczyna materiał. - Powiedz mi coś o swoim mężu - poprosił.

- O mężu? - Patrzyła na niego, jak ściska w ręku jej pończochy, niesłychanie zakłopotana intymnością tego nieświadomego gestu. Zakłopotana i podekscytowana jednocześnie. Miała straszną ochotę, by wyrwać mu je z dłoni, choćby dla własnego spokoju ducha.

- O Richardzie - przypomniał jej oschłym tonem.

Zupełnie niechcący jej oczy złagodniały na dźwięk tego imienia, Jerome zauważył jej reakcję i poczuł, jak coś ściska go w środku boleśnie. Tak bardzo jej pragnął i nie mógł jej mieć! Było to dla niego prawdziwą udręką, poczuł, jak fala cierpienia ogarnia go całego bez reszty. Jednym gwałtownym ruchem odrzucił jej pończochy na środek pokoju. Złapał ją za ramiona i brutalnie odwrócił do siebie.

- Tak, Jennifer, o Richardzie. Chcę, żebyś mi powiedziała, że go nienawidzisz.

Krótki, cichy szloch wyrwał jej się z piersi, słysząc to Jerome jeszcze mocniej zacisnął palce, tak że do bólu wbijały się w delikatną skórę jej ramion. - Powiedz mi, że pił za dużo! - krzyczał w uniesieniu, gdy potrząsała bezradnie głową. - Na Boga! Powiedz mi, że cię bił! Powiedz, że cię zdradzał! Daj mi jakiś powód!

- Nie mogę - krzyczała. - Nie mogę!

- Więc czego ty, u diabła, chcesz - jęczał z głębi gardła. Nie mów mi tylko, że jeszcze go kochasz! - Jego usta runęły na jej usta, i Jerome zgniótł jej wargi w elektryzującym pocałunku, w którym ślepe okrucieństwo mieszało się z dziką namiętnością.

Czysty, żywy ogień rozlał się po jej żyłach. Nie było sensu opierać mu się dłużej. Był taki silny, tak wszechpotężny, a ona tak bardzo pragnęła tego pocałunku! Gdy przytulił ją do siebie mocniej, jej ciało osłabło w jego objęciach, tak jakby od dawna czekała cała na to, by mu ulec.

Żądał od niej, żeby przedstawiła mu jakiś powód, uzasadniła jakoś sens tych gwałtownych uczuć, które owładnęły nimi tak szaleńczo. Ale ona nie mogła tego zrobić. Czowała natomiast, że tego, by kochać się z nim, pragnie bardziej niż czegokolwiek na świecie. Zapominając o jakiegokolwiek rozwadze, wsunęła obie ręce w rozcięcie jego szlafroka i przytuliła je do gorącej skóry na jego karku. Pod

wpływem tego dotknięcia poły jego szlafroka rozsunęły się nieco i Jennifer mogła rozpoznać włoski na jego piersi, których muśnięcie podnieciło dodatkowo ją całą, i wyczuć żar jego ciała, płonącego pod cienką koszulą.

Ale już chwilę później Jerome z zaciętym wyrazem twarzy odsunął ją od siebie, nie wypuszczając jednak z uścisku. - Widziałem cię, jak się rozbierałaś, Jennifer, patrzyłem na ciebie, stojąc w drzwiach mojej sypialni. Dziwię się, że nie poczułaś, ile ognia było w moim spojrzeniu, ale ty nawet nie wiedziałaś, że jestem tam. A może zresztą wiedziałaś. Któż to może wiedzieć! Zresztą, czy to nie wszystko jedno? A więc stałem tam i patrzyłem, i to było wszystko, co mogłem zrobić, by nie podbiec do ciebie, wziąć cię w ramiona i kochać cię, kochać się z tobą - w każdej możliwej pozycji, na każdy możliwy sposób i w każdym możliwym miejscu w tym pokoju. Na fotelu, na stole, na kanapie, na podłodze! Nie ma takiego kawałka twojego ciała, którego nie chciałbym dotykać palcami i pieścić językiem. Tak bardzo pragnę cię, Jennifer White!

Nagle uświadomił sobie, że trzyma ją dalej w objęciach i to było więcej, niż potrafił znieść. Przewrócił ją na kanapę i zaśmiał się gorzko. - No, jak tam, Jennifer, z twoją nocną pracą? Musisz sobie pewnie gratulować w duchu. Zaledwie parę godzin wystarczyło ci, by stosunkowo inteligentnego, racjonalnie myślącego mężczyznę zamienić w szaleńca z krwawiącym sercem, który ledwo powstrzymał się przed zgwałceniem ciebie. - Zmrużył oczy i mówił dalej: - Ale ty jesteś mężatką, więc nic z tego, skarbie. Zrobię, co mogę, by ci pomóc przez najbliższe kilka dni, ale to wszystko, na co możesz liczyć. Choćby z tego powodu, że ty już masz męża, a więc jeżeli o mnie chodzi, jesteś dla mnie nieosiągalna. Nie kuś mnie, proszę, nie pysznij się swoim urokiem, bo będziesz

leżała na plecach szybciej, niż zdążysz się zorientować, kto cię przewrócił, a ja będę wtedy już w tobie, głęboko i całkowicie.

Jennifer usiadła, trzęsąc się cała; gdy usłyszała trzask zamykanych drzwi do sypialni, była zupełnie jak ogłuszona. Przytuliła kolana do podbródka, objęła je rękami, a potem jeszcze głębiej wtuliła w nie głowę. Wielki Boże, co ona ma teraz z tym wszystkim zrobić? Nie chodziło jej wcale o to, że nie wiedziała, że obserwował ją, gdy się rozbierała, to jej w najmniejszym stopniu nie usprawiedliwiało. Nie usprawiedliwiało, ponieważ od razu, jak tylko zobaczyła go po raz pierwszy, od razu wiedziała, że go pragnie co siłą, tak samo albo nawet więcej niż on pragnie jej.

To nie był odpowiedni moment. To nie był odpowiedni wybór. Znalazła się w najgorszym położeniu, chyba najtrudniejszym w jej życiu, i co miała teraz zrobić? Mimo jej starań, kłamstwa nie przychodziły jej łatwo. Z natury była otwarta i uczciwa, nikt i nic nie przygotowało jej na takie doświadczenia, jakich doznawała, gdy spojrzawszy w błękitne oczy Jerome'a zaczęła opowiadać mu jedno kłamstwo za drugim. Niemniej jednak nawet gdyby żałowała każdego wypowiedzianego kłamstwa, to i tak musiałaby przyznać, że wszystkie były naprawdę niezbędne. W dodatku niezależnie od tylu środków ostrożności, które podjęła, i tak Jerome mógłby zostać zabity tej nocy. A ona wraz z nim.

Nagle drgnęła i uniosła głowę. Drzwi! Przecież odnaleźli ją w hotelu, kiedy sądziła, że udało się jej ich zmylić. Mogą odnaleźć ich znowu. Wstała i rzuciła się w pośpiechu do drzwi, by sprawdzić, czy są dobrze zamknięte. Chwała Bogu, dobrze. Zarówno zamek, jak i łańcuch były na miejscu.

Zmęczona wróciła z powrotem na sofę. Położyła się, ale była tak bardzo wykończona, że aż bała się zamknąć oczy, by nie pojawiły się znowu dręczące ją od dwóch dni koszmary.

Te same, które prześladowały ją już dwie noce. I krew. Krew lejąca się tak obficie! Taka czerwona. I tak jej dużo...

Rano musi stąd odejść. Będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobi. Z tą myślą w końcu usnęła.

Rozdział 4

Samotna postać stała w drzwiach sklepiku z gazetami, trzymając w ręku filiżankę mocnej kawy i patrząc jak niebo z czarnego staje się szare. Mimo chłodu czuła się dobrze w otwartych drzwiach. Dokuczał co prawda reumatyzm, ale przez zbyt wiele lat nie miała możliwości stać tak swobodnie na zewnątrz i obserwować pierwsze przebłyski świtu. Powoli nadjechała taksówka i zatrzymała się obok. Z taksówki wyszedł młody mężczyzna, trzymając w ręku, jak zazwyczaj, zatłuszczoną torebkę z pączkami. - Cześć, Leo.

- Phil - właścicielka sklepiku z gazetami postawiła filiżankę na kontuarze obok łyżeczki i dwóch opakowań cukru. - Jeździsz całą noc?

- No - odpowiedział młody człowiek. Wsypał do kawy cukier z obu opakowań i rozmieszał go starannie.

- Miałeś dobrą noc? - No.

- Rozmowny dziś jesteś, prawda?

Młody człowiek podniósł znad kawy zielone, poważne oczy. - Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć, Leo. Dwóch ludzi rozpytuje o Jerome'a Mailera. Przez chwilę panowało milczenie. Potem Leo spytała: - Kim oni są?

- Nie powiedzieli, ale trzeba ich traktować poważnie.

W wyblakłych, niebieskich oczach kioskarki rozbłysły na chwilę iskierki rozbawienia. - Narobili ci kłopotów, co?

- Nie mnie - Phil wzruszył ramionami - zresztą nic im nie powiedziałem, ale to nie znaczy, że nie wyciągną czegoś od kogoś innego.

Leo pociągnęła łyk kawy. - Wiesz, co jest grane?

- Wszystko co wiem, to tylko tyle, że kiedy przejeżdżałem koło „Charliego”, Jerome Mailer zatrzymał mnie. Zawiozłem jego i jakąś panią do „Randolpha”. Mniej więcej godzinę później jeden z moich przyjaciół zawiózł ich

do jego mieszkania. - Phil wpatrywał się w przestrzeń. -
Bardzo dziwne zachowanie.

- Co masz na myśli?

- Mailer na ogół nie zawraca sobie głowy taksówkami i hotelami. Ale ta pani wtedy była zupełnie nietypowa. - Phil pchnął pustą filiżankę przez kontuar, tak żeby wpadła do znanego mu pojemnika. - Do zobaczenia jutro. - Jeśli się czegoś dowiem, dam ci znać.

- Śpij dobrze, Phil. - Leo odwróciła się i patrzyła w ślad za odjeżdżającą taksówką. Kiedy zniknęła jej z oczu, odsunęła do tyłu dżersejowy kaptur okrywający jej siwe warkocze i podniosła wzrok w górę, by spojrzeć na najwyższe piętro okazałego budynku mieszkalnego po drugiej stronie ulicy... na mieszkanie Jerome'a Mailera.

Świt zastał Jerome'a już obudzonego, odświeżonego prysznicem i ubranego, siedzącego w fotelu obok kanapy; i wpatrującego się w śpiącego głębokim snem gościa. Leżąc tu bezbronna, wydawała się krucha, jak szkło weneckie. Kiedy jednak znaleźli się w niebezpieczeństwie, wykazała refleks niemal równie szybki, jak on sam. Kim ona do diabła była? A być może jeszcze lepszym pytaniem było, dlaczego tak go to obchodzi? No cóż, zdecydował z ponurą determinacją, zacząć od pierwszego pytania.

Na skraju stołu leżała jej torebka. Sięgnął po nią i otworzył zapięcie. Papierosy, zapalniczka, szminka, grzebień, złota obrączka ślubna, ładna bransoletka z zepsutym zatrzaskiem i licznymi breloczkami, portfelik z paroma dolarami w środku. Przeszukał kieszonkę na dokumenty i znalazł prawo jazdy. Zdjęcie się zgadzało, natomiast nazwisko było inne, niż mu podała. Według prawa jazdy nazywała się Jennifer Blake. Spojrzał dalej i znalazł kartę ze wstemplowanym nazwiskiem Jennifer Blake. Dziwne uczucie człowieka, którego oszukano i

jednocześnie ogarniętego obsesją zmieszały się w nim w jedną całość.

Poruszyła się, obracając lekko głowę i światło wczesnego poranka położyło złotawą przepaskę na jej czole. Z ciemnymi włosami wijącymi się wokół twarzy i śmiesznymi grubymi rzęsami rzucającymi postrzępione cienie na jej policzki koloru kości słoniowej, przypominała mu anioła. Próbując to zanalizować, zdał sobie sprawę, że najbardziej pociągają go jej usta. Były tak niewinne, a jednocześnie wyglądały tak, jakby je ktoś przed chwilą namiętnie całował.

To było nie do wiary. Nigdy jeszcze nie pragnął kobiety tak, jak tej nocy. I irracjonalne. Wiedział już, że ona kłamie. Kim była poza tym?

Z powrotem wrzucił wszystko do jej torebki i odłożył ją na to samo miejsce. Wziął swoją skórzaną aktówkę, otworzył ją, wyjął okulary z wiszącej na krześle marynarki i zaczął zapoznawać się z aktami sprawy, którą miał omawiać na spotkaniu wyznaczonym na dziesiątą.

Nie mógł się jednak skupić na trzymanyh w ręku dokumentach i jego spojrzenie znowu skierowało się na Jennifer. Miętko, jeszcze przez sen, wymknęło się z jej lekko rozchylonych ust jedno słowo: „Jerome”. Do diabła! Jak ona to zrobiła, dziwił się niemal ze złością. Czy rzeczywiście utkwilo jej w podświadomości imię mężczyzny, którego знаła dopiero od dwunastu godzin? A cóż takiego on miałby myśleć o zamężnej kobiecie, która budzi się z jego imieniem na ustach?

Powoli przytomniejąc, Jennifer przeciągnęła się jeszcze, wdzięcznie rozleniwiona, i otworzyła oczy. I zaraz potem skrzywiła się boleśnie, przypomniawszy sobie błyskawicznie grozę własnego położenia. Obróciła głowę i napotkała poważne spojrzenie błękitnych oczu Jerome'a Mailera. - Dzień dobry - powiedziała.

Jej wargi wygięły się ku górze, a na lewym policzku pojawił się mikroskopijny dołeczek. Pojawił się i zaraz znikł. Na ten widok Jerome poczuł nagłą chęć, by w coś z całej siły rąbnąć. Zamiast tego schwycił swoje okulary i wsunął je z powrotem do teczki. - Lepiej wstań i ubierz się. Pójdę przygotować dla nas śniadanie. - Schował papiery, które studiował przed chwilą i wstał.

- Och, proszę - uniosła się, naciągając na siebie koc. - Nie rób sobie kłopotów z mojego powodu.

- Nie martw się o mnie. Śniadanie będzie gotowe za piętnaście minut.

Ach, myślała sobie Jennifer, gdy dumnie krocząc, wyszedł z pokoju, coś za dużo tych grzeczności. Piętnaście minut. To znaczy, że zdąży wziąć prysznic. Nie wiadomo, kiedy znowu trafi jej się taka okazja.

Dokładnie kwadrans później, gdy Jerome stawiał na stół dwa talerze, Jennifer pojawiła się w drzwiach małego pokoiku śniadaniowego przylegającego do kuchni. Jerome wyglądał tak groźnie. Zaryzykowała i posłała mu jeszcze jeden uśmiech, ale on widząc ponownie dołeczek w jej policzku, mokre, lecz porządnie uczesane włosy i białą sukienkę, którą musiała z powrotem włożyć na siebie, zacisnął tylko mocniej szczęki. Jego wzrok powędrował w kierunku jej nóg. Włożyła na nie te same cienutkie pończochy, które miał wczoraj w dłoniach, a potem odrzucił na środek pokoju.

- Usiądź, proszę - powiedział, znikając w drzwiach kuchni i pojawiając się za moment znowu z dzbankiem kawy i dwiema filiżankami.

Posłuchała go z uczuciem przykrości, konstatuując, że on wciąż jest na nią tak samo wściekły. Ale teraz jakie to mogło dla niej mieć znaczenie? Miała już przecież gotowy plan, jakkolwiek nie do końca sprecyzowany, i wiedziała, że zaraz

stąd wyjdzie. Nigdy więcej już go nie zobaczy. Ta myśl sprawiła, że poczuła się dziwnie przybita.

- To wygląda wspaniale - szepnęła, patrząc na swój talerz, na który Jerome nałożył bekon, jajka i tosty oraz na miseczkę z rozciętą połówką grejpfruta. - Ten dżem truskawkowy na pewno jest wyśmienity. Zwykle nie jadam tak dużo.

- Będę wprost zafascynowany, gdy wreszcie dowiem się, co takiego ty zwykle robisz - skomentował Jerome i nalał jej do filiżanki parującej czarnej kawy, po czym usiadł naprzeciwko. Świadomość, że ona wciąż coś przed nim ukrywa, drażniła go, ale zły był bardziej na siebie niż na nią. Ponieważ, sprawiedliwie czy niesprawiedliwie, mimo nawet, że wiedział, że była mężatką, postanowił zastanowić się nad jej sprawami. Oparł się na łokciach i pochylił cały do przodu: Pomówmy może teraz o nazwiskach.

- O nazwiskach?

- Na przykład o twoim. To takie miłe. Najpierw „Po prostu Jennifer”. Potem Jennifer Smith. I Jennifer White.

Poczuła się jak w potrzasku. Niezależnie od tego, co wolałaby teraz zrobić, nadszedł już odpowiedni moment, by wyjść stąd. Zwróciła się do niego z zupełnie naturalną godnością: - Jerome, odkąd zobaczyłam cię dziś rano, cały czas chcę podziękować ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Nie mogłabym mieć do ciebie cienia pretensji, gdybyś wczoraj w nocy wyrzucił mnie po prostu na ulicę.

- Ale nie zrobiłem tego, prawda, że nie? Wprost przeciwnie, pomogłem ci wydostać się z krytycznej sytuacji, sam naraziłem się na niebezpieczeństwo i pozwoliłem ci zostać u mnie w mieszkaniu. W moim przekonaniu jesteś mi coś winna, skarbie.

- Winna? - Przeszył ją dreszcz trwogi. - Nie bardzo cię rozumiem.

- Mam na myśli, że jesteś mi winna powiedzieć prawdę, Jennifer, a zacznij najlepiej od twojego nazwiska.

- Przecież ty znasz moje nazwisko. Co ty znowu chcesz zrobić?

- Dostarczyć ci dość sznurka, byś mogła się na nim powiesić, pani Jennifer Blake!

Jak on to mógł odkryć? Rzuciła spojrzenie na swoją torebkę. Zrozumiała od razu. Przeszukał ją, gdy ona spała.

Potrząsnęła głową, walcząc z nagłym impulsem, kładącym jej złapać papierosa. Przecież to nie powinno boleć tak mocno, to, że wiedział już, że kłamała. Ale bolało, a ona próbowała jakoś się wytłumaczyć. - Posłuchaj, jak to wygląda z mojego punktu widzenia. Byłeś dla mnie kimś zupełnie obcym. Pomyślałam sobie, że będzie lepiej jeśli nie będziesz znał mojego prawdziwego nazwiska.

- Jesteś przekonująca, jesteś bardzo przekonująca, kochanie.

- Jerome, daj mi powiedzieć...

- Ale nie jesteś dostatecznie przekonująca, mój skarbie.

Naprawdę nie da się tu już nic zrobić, pomyślała. Nigdy nie wciągnie go w to do końca, niezależnie od tego, jak desperackie jest jej położenie. W tej sytuacji najlepsze, co może zrobić, to jak najszybciej zniknąć z jego życia.

- Wychodzę już - oświadczyła zdecydowanie. Odłożyła serwetkę i wstała.

- A niech to diabli, nigdzie nie pójdziesz! - Uderzył pięścią w stół z taką siłą, że Jennifer z powrotem opadła na swoje krzesło, i skrzywił się z dezaprobatą. Zastraszanie kogokolwiek uważał za taktykę godną pogardy, chciał jednak dowiedzieć się od niej prawdy i był zdecydowany ją od niej wymusić. - Nie masz żadnej ochrony. Nie masz żadnych pieniędzy. Jak u diabła zamierzasz sobie poradzić? A co zrobisz, jak zapadnie noc, zaczepisz kolejnego mężczyznę?

- Jerome, to nie jest fair, co mówisz!

- Powiedz mi, co jest fair, Jennifer - zachęcał ją zimnym, surowym tonem, tak naprawdę cały czas myśląc tylko o tym, że marzy, by mieć ją w ramionach i że może uda mu się jakoś odegnać w końcu z jej twarzy ten straszny wyraz zaszczucia. - Oczywiście, wszystkie twoje problemy można by szybko rozwiązać, gdybyś tylko wróciła do męża, prawda, Jennifer?

- Ja... ja nie mogę tego zrobić.

Było mu naprawdę przykro patrzeć na nią, że tak bardzo się boi, czuł się wręcz porażony jej stanem. Sam dobrze wiedział, co to jest strach, wiedział, co to znaczy bać się i nie mieć miejsca, w którym można się schronić. Dlaczego ona nie chce pozwolić mu, by jej pomógł?

Jego głos stracił trochę poprzedniej surowości, ale dalej przemawiał do niej bardzo stanowczo: - Posłuchaj, Jennifer, nigdzie nie będziesz mogła czuć się bezpieczna. Oni są twardzi i są zawodowcami. Nigdy sobie z tym nie poradzisz. To tak, jakby egzotyczna orchidea starała się przeżyć na Antarktydzie!

- Mylisz się - zaprotestowała - jestem przyzwyczajona do tego, by sama dawać sobie radę.

- No, to rzeczywiście doskonale to robisz.

Zerknęła na niego. - Do tej pory jakoś mi się to udawało.

Mimo że zupełnie wyprowadziła go z równowagi, musiał przyznać, że podziwia jej odwagę. Wszystko sprzysięgło się przeciwko niej, ale ona nie miała zamiaru się poddawać. Nie przyjdzie mu łatwo skłonić ją, by zgodziła się przyjąć jego pomoc, wiedział o tym i świadomość tego faktu doprowadzała go do szaleństwa. Zanurzył palce w swoich złotorudych włosach. - Do diabła, Jennifer, nigdy dotąd nie spotkałem kobiety, która do tego stopnia by mnie rozwścieczyła co ty, a wierz mi, miałem w życiu do czynienia z różnymi szalonymi kobietami.

Jennifer starała się nie myśleć, z jakimi to kobietami miał on w życiu do czynienia i zamiast tego zabrała się do swoich jajek na bekonie, wiedząc że to może być jej ostatni posiłek w najbliższym czasie, ale jakoś zupełnie jej to nie wychodziło. Jedzenie dosłownie wzięło jej w gardle. Rozgrzebywała je tylko na talerzu, całą swą uwagę skupiwszy na rozważaniu własnej sytuacji. Nieskończenie łatwiej byłoby oczywiście dla niej powiedzieć mu wszystko. Nienawidziła siebie za to, że musiała tyle mu skłamać. Ale wiedziała, że przede wszystkim powinna pamiętać o jego bezpieczeństwie - jeśli tylko on sam jej na to pozwoli.

- Potrzebujesz jakiegoś planu, Jennifer.

Opuściła widelec i spojrzała na niego. W jego oczach ujrzała powagę. - Słuchaj, Jerome, to już mój problem, nie twój.

- Jak sobie życzysz. - Skrzyżował ręce i oparł się głębiej na krześle. - A co masz zamiar zrobić? Na przykład powiedz mi, z czego będziesz żyła?

- Wezmę jakąś tymczasową pracę.

- Acha, a jakie masz kwalifikacje?

- Mogę pracować w biurze. Jestem bardzo dobrą sekretarką.

- I pracowałaś właśnie jako sekretarka, zanim poznałaś Richarda?

Zawahała się na moment i miała nadzieję, że on tego nie zauważył. - Tak - odpowiedziała. Chyba nie zauważył, przynajmniej tak mogłaby sądzić po jego wyrazie twarzy, zapytał tylko: - A jak sądzisz, jak długo to potrwa, zanim on cię dopadnie?

- Nie mam pojęcia, ale jest przecież szansa, że oni mnie nie znajdą.

- Jedna na sto - parsknął niechętnie. - A czy nie wydaje ci się, że byłoby lepiej stanąć twarzą w twarz z Richardem i pozbyć się tego raz na zawsze?

- Nie! Wykrzyknęła, cała blednąc. - Mój Boże! - Ukryła głowę w dłoniach. - Sama już nie wiem.

- Jennifer - wyciągnął rękę przez stół i ujął jedną z jej dłoni, tak że musiała na niego spojrzeć. - Jestem prawnikiem i to diablo dobrym. Pozwól mi pokierować tą sprawą. Przeprowadzę ci rozwód i mogę się założyć, że Richard nie będzie się niczemu sprzeciwiać. Zobaczysz, za bardzo będzie się bał tego, co mogłabyś ujawnić na jego temat w sądzie.

Wyszarpnęła rękę, wstała i podeszła do okna. Skrzyżowała ręce na ramionach, zastanawiając się

beźładnie, co ona nieszczęsna ma z nim zrobić. Wiedziała, że za jego błękitnymi oczami ukrywa się

nieprzeciętna inteligencja, prawdziwa wiedza i naprawdę sympatyczna osobowość. To było wręcz

zadziwiające, że tak bardzo chciała móc mu ufać, ale teraz bała się nie tylko o siebie samą, ale i o niego,

ponieważ przez nią i on mógł znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Zrobiło się jej zimno. Właściwie było jej zimno przez cały czas, od momentu, gdy - prawie trzy dni temu - wybiegła z mieszkania, w którym mieszkali oboje z Richardem. Czując na sobie badawcze spojrzenie Jerome'a, odwróciła się i spróbowała raz jeszcze. - Mogę jeszcze stąd wyjść i opuścić twój dom, tak jakbym nigdy tu nie była. Mogę zniknąć bez śladu z twojego życia, a ty możesz zniknąć z mojego.

Odpowiedziała jej grobowa cisza.

Zupełnie zrozpaczona, zaczęła bezradnie ssać paznokiec kciuka. On zupełnie nie dawał jej szansy, by mogła go jakoś od tego uchronić!

- Jest ci zimno, prawda? - Jerome spytał cicho, nie wstając od stołu. - Słuchaj, może na razie udałoby nam się uzgodnić chociaż jedno. Moim zdaniem pierwszą sprawą do załatwienia powinno być kupienie ci jakichś rzeczy z ubrania.

- Zdecydowanie nie pozwolę ci kupować dla mnie żadnych ubrań! - zaprotestowała przerażona. Spojrzał na nią uważnie. - Większość kobiet uwielbia dostawać od mężczyzn różne fatalaszki.

- Ja nie jestem „większością kobiet”!

- Myślę, że właśnie coś takiego powiedziałem przed chwilą. - Odsunął serwetę i wstał z krzesła. Do tej pory jego życie było może tylko odrobinę niezwykle, ale - niezależnie od tego, jak się je określi

- zawsze miało jakiś sens. Nigdy nie miał wątpliwości, dlaczego zrobił coś tak a nie inaczej. Teraz natomiast jedyną rzeczą, jakiej był pewny, było to, że nie może pozwolić jej odejść.

- Jeśli to może wpłynąć na twoje samopoczucie, to będziesz mi mogła oddać te pieniądze później. Mówiąc szczerze, wszystko mi jedno. Nie ma to najmniejszego znaczenia. A teraz będzie najlepiej, jeżeli tu zostaniesz, tu, gdzie możesz być bezpiecznie ukryta. Pójdę do biura na jedno spotkanie, ale wrócę tu z powrotem jeszcze przed lunchem.

- Zaczekaj chwilę! Zanadto mnie popędzasz. Nigdy nie mówiłam, że tu w ogóle zostanę. Naprawdę nie wiem, czy mogę. Pamiętasz, dzisiaj w nocy mówiłeś...

Przerwał jej w pół słowa: - Dzisiaj w nocy było za dużo emocji. Musisz przyznać, że nie była to banalna randka. - Nieoczekiwanie ton jego głosu stał się przymilny. - Pozwól mi pomóc ci, Jennifer.

- Potem widząc jej zamknięty wyraz twarzy, westchnął i potrząsnął głową. - Naprawdę nie masz innego wyboru,

ponieważ nie pozwolę ci stąd wyjść, przynajmniej nie beze mnie.

Wielkimi krokami przeszedł do salonu, a ona podążyła za nim. - Jesteś pewien, że będę tu bezpieczna?

- Mam nadzieję, ale muszę ci powiedzieć, że jeśli ci ludzie znowu zajrzą do baru, to mają wszelkie szanse spotkać kogoś, kto powie im, jak się nazywam. Jestem tu, niestety, postacią dość znaną. Oczywiście, zajmie im to trochę czasu, a tym bardziej, że bar otwierają dopiero o czternastej. - Podeszedł do niej i pogłaskał ją po policzku. - Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze. Nie pozwolę, żeby ci się coś stało.

Ale czy ja będę w stanie cię ochronić, spytała się w myślach Jennifer. Głośno powiedziała tylko: Jerome?

- Co? - zdążył się już obrócić i szedł ku drzwiom, ale jej głos zawrócił go kilka kroków z powrotem.

- Czy - czy mógłbyś przynieść mi jakąś gazetę?

- Jest taki sklepik po drugiej stronie ulicy. Po południu pójdziemy na zakupy i wtedy zajrzemy tam.

Po raz setny Jennifer spojrzała na zegarek. Mogła wyjść. Powinna wyjść. Jeszcze raz przyjrzała się drewnianemu koniowi na biegunach i westchnęła. Co się z nią działo? Jerome Mailer trzymał ją w ramionach, całował, wzbudził w niej pragnienie czegoś więcej, co nie mogło się zdarzyć. A ona wciąż nie chciała wyjść! Ten mężczyzna w tym czasie, w tym miejscu. Nieodpowiedni moment, nieodpowiedni wybór! Wszystko sprzysięgło się przeciwko niej!

Nie było to racjonalne, ale postanowiła, że na razie zostanie z nim - przynajmniej tak długo, jak to będzie możliwe.

Kiedy uświadomiła sobie sens tego bulwersującego ją samą postanowienia, rozległ się dzwonek telefonu. Jennifer wahała się, słuchając upartego, przenikliwego dźwięku.

Czwarty raz, piąty raz. W końcu uznała, że może to być Jerome i podniosła słuchawkę. - Halo?

- Jennifer - zachrypiał głos w słuchawce - posłuchaj mnie. Chcę ci pomóc. Jesteś w niebezpieczeństwie. Ja wiem...

Rzuciła słuchawkę na widełki. Znaleźli ją. Wiedzieli. Powinna stąd uciekać!

W połowie drogi do drzwi zatrzymała się jednak i powoli zawróciła. Richard powiedział jej, że jeśli coś się jej przytrafi, powinna skontaktować się z Wainrightem, ale dodał, że w tych kontaktach powinna zachować wielką ostrożność. Słuchawkę odłożyła wiedzona instynktownym odruchem. Zaszokowało ją, że słyszy chrapliwy głos i że jego posiadacz wie, gdzie ona jest. W połączeniu z ostrzeżeniami Richarda było to aż nadto, żeby wpadła w panikę.

Zmusiła się, żeby znowu podejść do telefonu. Mimo wszelkich wewnętrznych wątpliwości wiedziała, co ma robić. Mocno chwyciła słuchawkę i wybrała zaczynający się od ośmiuset numer, którego w swoim czasie musiała nauczyć się na pamięć.

- Przepraszam, że przerwałam rozmowę - powiedziała, kiedy w słuchawce znów odezwał się chrapliwy głos. - Tak, wiem, że nie powinnam wpaść w panikę w hotelu, ale... tak byłam przerażona i nie wiedziałam, co robić. Ale... ale musiałam uciekać. Śledzili mnie. Dwóch mężczyzn. Oni..., co? Wahala się tylko sekundę i trzasnęła słuchawką o widełki. Odskoczyła od telefonu, jakby jego sznur nagle zmienił się w węża.

Jerome zbliżył się do drzwi, wyciągnął klucze z kieszeni i uśmiechnął się do siebie ponuro. Nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wracał do domu z taką ochotą. Oczywiście, była tam Jennifer. Jennifer, nowe światło jego życia... i nowy problem.

Czy w ogóle istniała naprawdę? Teraz miał co do tego wątpliwości. Czy była tylko tworem jego umysłu i tylko jego obecność przywoływała ją do życia? Czy kiedy on wejdzie do salonu, ona tam będzie? A może rozplynęła się już w powietrzu, pozostawiwszy po sobie tylko smugę dymu?

Kiedy jednak otworzył drzwi, wątpliwości zniknęły. Jennifer stała za wysokim krzesłem ze spojrzeniem utkwionym w drzwiach. Bładość jej twarzy zaalarmował go. - Nic ci nie jest, Jennifer? Stało się coś?

Zamknął drzwi i podszedł do niej. Spojrzał na jej ręce. Były tak mocno zaciśnięte na oparciu krzesła, że kostki palców aż zbieleły.

- Nic się nie stało - roześmiała się nienaturalnie i rozluźniła uchwyt. - Kiedy usłyszałam, że gałka w drzwiach się obraca, moja wyobraźnia zawładnęła mną bez reszty. To wszystko. Czuję się świetnie, naprawdę.

Nadal patrząc na nią z troską, zdjął marynarkę i rzucił na krzesło. - Jeśli tak, no to wszystko w porządku. Uwolniłem się od zobowiązań na resztę popołudnia. Zrobię jakiś obiad, a potem pójdziemy po zakupy. Poza tym dam ci jedną z moich kart kredytowych do pobliskiego domu towarowego. Umówiłem się z nimi dziś rano. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, wystarczy do nich zadzwonić. Podaj nazwisko, a oni dostarczą to, co zamówisz, w ciągu kilku godzin.

- To bardzo miło z twojej strony, ale jestem pewna, że nie będę niczego potrzebowała. Ale... mówiłeś, że moglibyśmy zajrzeć do kiosku po drugiej stronie ulicy? - Musiała się dowiedzieć, co jest w gazetach. Przez dwa dni nie było żadnej wzmianki o tym, co się stało. Nie mogła tego zrozumieć, chyba że... że sprawa jeszcze nie wyszła na jaw. .

Po obiedzie Jerome zaprowadził ją do podziemnego garażu i zaraz potem znaleźli się oboje przed sporym stoiskiem z gazetami, dokładnie naprzeciw jego domu.

Leo była korpulentną kobietą po pięćdziesiątce. Wysoka, z niewielką nadwagą, robiła wrażenie grubszej niż była z powodu kilkuwarstwowego ubrania. Koronkowy czepek na siwych włosach nadawał jej niemal królewski wygląd.

- Dzień dobry, panie Mailer - skinęła głową - jak pan się miewa?

- Znakomicie, po prostu znakomicie.

Spojrzenie jej oczu koloru wyblakłego bławatka było jasne i przenikliwe, kiedy przyglądała się Jennifer.

- Leo, to jest moja przyjaciółka. Będzie u mnie przez jakiś czas. - Odwrócił się do Jennifer. - To jest Leo. Jest właścicielką tego sklepu i tuzina innych w Twin Cities.

Jennifer uśmiechnęła się i wyciągnęła do niej rękę. Leo uścisnęła ją mocno, nie zdejmując rękawiczki.

Nie odwzajemniła się nawet cieniem uśmiechu. Dzień był chłodny, ale to powitanie było jeszcze chłodniejsze. Ona coś wie, pomyślała z niepokojem Jennifer. Ale cóż ona mogła wiedzieć?

- Czym mogę dzisiaj służyć? - zapytała Leo.

- Prosiłobyśmy jakąś gazetę.

- Lokalną, jeśli można - dodała Jennifer.

Kiedy właścicielka zdjęła ze stelaża kilka gazet, Jerome spytał ją: - Leo, czy mógłbym cię poprosić o pewną przysługę? Odwróciła ku niemu swą ogorzałą twarz z niemym pytaniem w oczach.

- Być może jacyś ludzie będą się tu wałęsać i wypytywać o mnie i o mojego gościa. Jej wyblakłe oczy nie zmieniły wyrazu.

- Już to zrobili.

Puls Jennifer gwałtownie przyspieszył. Bała się, czy tamci nie powiedzieli czegoś o niej. Nie bądź głupia, pocieszała się w duchu. Oczywiście, że nie powiedzieli.

Jerome zastanawiał się przez chwilę nad tym, co właśnie usłyszał. Pracowali szybciej, niż się tego spodziewał. Spojrzał na Jennifer, przypominając sobie swoje podejrzenia z ubiegłej nocy. Ci mężczyźni' byli fachowcami w swojej dziedzinie, a on ich nie docenił. Musi bardziej uważać.

- Ooo... - zauważył - Czy wiesz może, Leo, co to za ludzie? Potrząsnęła przecząco głową i spytała: - Ma pan jakieś kłopoty?

Jennifer dostrzegła świdrujące spojrzenie, jakim obrzuciła ją, zadając to pytanie i poruszyła się nerwowo. Ta kobieta, Leo, denerwowała ją. Wydawało się jej, że chce przeszyć ją na wskroś i nie było to miłe uczucie.

- Tak to zaczyna wyglądać - odpowiedział ponuro Jerome. - Będę ci zobowiązany, Leo, jeśli nie będziesz mówiła nikomu nic na mój temat. Już uprzedzałem też w tej sprawie portiera i jego zmiennika.

Kiwnęła głową.

- Dziękuję, Leo. - Rzucił pieniądze na ladę i wziął Jennifer za rękę. - Chodź, pójdziemy kupić ci coś do ubrania.

Jak tylko Jerome uruchamia! samochód, Jennifer zaczęła przerzucać gorączkowo gazety. Przeglądała głównie wiadomości, potem lokalne, na końcu - już ukradkiem - także nekrologi. Nigdzie nic nie znalazła.

Jennifer postanowiła nie protestować dłużej, gdy Jerome chciał kupować jej rzeczy. Wiedziała, że będzie musiała przeforsować ważniejsze kwestie, więc łaskawie zaakceptowała ten jego pomysł.

Zawiózł ją do maleńkiego butiku, pachnącego na miłą ekskluzywnym światem, gdzie dwie rozplywające się w uśmiechach ekspedientki z wielką uwagą czekały na ich dyspozycje. Czy raczej, jak skonstatowała Jennifer, dyspozycje Jerome'a. Było dla niej jasne, że ona sama się tu nie liczy, jest tylko ciałem do szturchania, dźgania i w końcu

do przymierzania najbardziej niewiarygodnych kreacji, jakie zdarzyło się jej w życiu widzieć. Była wśród nich suknia w kolorze królewskiej purpury z delikatnego, lejącego się dżerseju, która przy każdym ruchu niemal zmysłowo głaskała jej ciało i nieskazitelnie biała wełniana szata, uwydatniająca tak wiernie jej kształty, że Jennifer była pewna, że będzie się bała wkładać pod nią jakąkolwiek bieliznę, bo na pewno byłoby to widoczne. Przymierzała także dwuczęściowy popołudniowy kostium barwy platyny i suknie z najczystszeo jedwabiu w kolorze fiołkowym, a także liczne dopasowane do wszystkich tych kreacji dodatki i wymyślną bieliznę i, na koniec, wielką pelerynę z kapturem z kaszmiru, idealną do noszenia na czymkolwiek.

Jerome przyjmował wszystko, co im proponowano, bez najmniejszego śladu niezadowolenia, zachowując się tak, jakby robił podobne zakupy niezliczoną ilość razy. Ona natomiast próbowała protestować, wiedząc, że wszystkie te cuda są strasznie niepraktyczne, a do tego łatwe do zauważenia i zapamiętania ze względu na swe wyjątkowe piękno. Ale Jerome nie chciał jej słuchać; nawet kolor pończoch został jej narzucony bez pytania o zgodę. Dopiero na końcu pozwolono jej samej wybrać parę bardziej praktycznych, choć niemniej drogich części garderoby, takich, jak swetry, spódnice i spodnie.

Gdy sprzedawczyni pakowała stroje do pudeł, Jennifer obserwowała jej poczynania w dość minorowym nastroju. Czy kiedykolwiek w ogóle będzie miała okazję włożyć na siebie te przepiękne ciuszki? Aż za dobrze wiedziała, że może znaleźć się łatwo w takiej sytuacji, że będzie musiała z miejsca zostawić i Jerome'a, i wszystkie te pyszne kreacje.

Jerome zaniósł wszystkie paczki do bagażnika, a kiedy już usiadł w samochodzie obok Jennifer, oświadczył, przeciągając

leniwie wyrazy: - W tej czarnej, wieczorowej sukni będziesz wyglądała naprawdę wspaniale.

Miał na myśli ostatnią swoją fantazję - suknię, której góra składała się z dopasowanego do ciała staniczka z atłasu, od którego aż do talii biegły wszyte ukośnie pasy wstawionej koronki i który na plecach trzymał się wyłącznie na cieniuteńkich ramiączkach, a dół zrobiony był z jednego kawałka takiej samej, jak wstawki, czarnej koronki.

- Dlaczego wybrałeś dla mnie akurat tę wieczorową suknię?

Uśmiechnął się i przysunął do niej bliżej, tak że jej tętno przyspieszyło gwałtownie. - Ponieważ ta suknia uszyta jest tylko w jednym celu. Ma uwodzić. A ty przecież umiesz to robić tak znakomicie!

- Ależ skąd!

Jego oczy, pełne niebieskich ogników, zniewalały ją.

- Nikogo nie uwodzę. - Jej protesty były coraz cichsze. - Nikogo nie uwodziłam.

- Ach, w takim razie była to naprawdę najbardziej mistrzowska mistyfikacja, jaką kiedykolwiek widziałem, droga pani. A co pragnęłaś osiągnąć, proponując mężczyźnie, by zabrał cię na noc do hotelu?

- Wszystko ci przecież wyjaśniłam! - zakłopotana zanurzyła bezradnie palce we włosy, Jerome podziwiał, jak słodko układają się one w fale. - Czy nigdy nie będziesz mógł mi tego zapomnieć?

Sięgnął po kosmyk jej włosów i nawinał go sobie na palec. - Szczerze wątpię - powiedział.

- Dlaczego? - Poczwała, jak po jej żyłach rozchodzi się ciepło.

W głosie Jerome'a pojawiły się niskie tony powściąganego pożądania. - Ponieważ nie jestem pewny, czy kiedykolwiek zdołam po tym oprzytomnieć.

- Jerome... - jej szept niemal zamienił się w jęk.

Położył palec na jej wargach prosząc, by nie mówiła nic więcej. - Kochanie, nie musisz się o nic martwić. Pogodziłem się z tym, że jesteś mężatką. Ale niezależnie od wszystkiego postanowiłem się tobą zaopiekować. I skończmy z tym na razie.

Wkrótce potem byli już pod jego domem. Ponieważ Jerome miał obie ręce zajęte pudłami z jej ubraniem, Jennifer wyjęła klucze z kieszeni jego płaszcza i otworzyła drzwi. Przeszła przez próg i spojrzała przed siebie. Meble powywracane były do góry nogami, poduszki i miękkie siedzenia foteli - kompletnie porozrywane, a kosztowne dzieła sztuki rozbite. W kącie pokoju roztrzaskany na kawałki leżał piękny koń na biegunach. Wszędzie wałały się szczątki różnych zniszczonych rzeczy. Jennifer poczuła nagłe ukłucie bólu, a straszna świadomość deja vu kazała jej zamknąć oczy.

- A niech to diabli - wycedził przez zaciśnięte zęby Jerome - wygląda na to, że mieliśmy gości. - Odrzucił z trzaskiem pakunki starając się zawrócić ją z powrotem do holu. - Zostań tu, dopóki się nie rozejrzę.

- Nie, błagam! Nie chodź tam! Oni tam jeszcze mogą być!

- Jeśli są, mogą spodziewać się cholernych kłopotów. Tym razem jestem u siebie. Błyskawicznie przeszukał cały apartament, a potem stanął na środku pokoju, ponuro oglądając szkody. Podeszła do niego. - Jerome, naprawdę nie wiem, co powiedzieć, tak mi przykro, tak strasznie przykro, i twój piękny koń!

- Wygląda na to, że Richard wie, gdzie jesteś - powiedział z pozornym spokojem i tylko naprężone żyły na jego szyi wskazywały, jak bardzo stara się hamować gniew. - Nie rozumiem tylko, dlaczego rozniósł na strzępy cały mój dom.

Była zupełnie bezradna, wiedziała, że nie może sprawić, by poczuł się lepiej. Patrzyła, jak zbiera to, co zostało z jego

wspaniałego konia i delikatnie składa kawałek do kawałka. Serce przewracało się w niej na ten widok. Jego najdroższy skarb roztrzaskano tak bezlitośnie. Wątpiła, by najzdolniejszy nawet rzemieślnik był w stanie poskładać go na nowo.

Wszystko to wydarzyło się przez nią, powtarzała sobie całkowicie ogłuszona. Ze wszystkich sił pragnęła podejść do niego, podnieść go jakoś na duchu, ale intuicyjnie wiedziała, że odrzuci jej pocieszenia. Co mogłaby zrobić? Czy kiedykolwiek uda jej się wynagrodzić mu to, co przez nią przeszedł?

W końcu Jerome wyprostował się, a na jego twarzy pojawił się wyraz determinacji. - Przyszli do mego domu, naruszyli moje poczucie prywatności, zniszczyli rzeczy, które były częścią mnie samego! To ostatecznie dowodzi, że twoje sprawy stały się moimi sprawami i nie spocznę, dopóki nie dowiem się wreszcie, o co tu u diabła chodzi. To wszystko układa się w jakąś straszliwie zawiłą układankę, a ty, mój skarbie, jesteś w samym jej środku.

Rozdział 5

Jennifer pomogła Jerome'owi doprowadzić mieszkanie do porządku, na ile to w ogóle było możliwe. Był już wieczór. Stojąc w oknie, Jennifer widziała, jak zapalają się uliczne latarnie. Niektóre z przejeżdżających samochodów zatrzymywały się przed sklepikiem Leo. Jednak odgłosów z ruchu ulicznego prawie nie było słychać przez grube szyby. Spojrzała na Jerome'a. Siedział w fotelu pochłonięty lekturą dokumentów prawniczych.

Nieodpowiedni czas. Nieodpowiedni wybór, przypomniała sobie. Lecz kiedy jej dotknął, była rozpalona, kiedy ją pocałował, pragnęła czegoś więcej. Przeciw nim były okoliczności, a między nimi były kłamstwa. Nie mogła zmienić okoliczności, ale mogła usunąć kłamstwa. Mogła? Musiała!

Zdecydowała się. Opowie mu wszystko. Zasłużył na to, a ona nie może ciągle sprawiać mu zawodu. Zawsze nienawidziła nieuczciwości, a ze szczególną siłą odczuwała to teraz. Wiedziała, że prawdopodobnie nadal nie będą mieli szansy, ale też w niewiarygodnie krótkim czasie jej uczucie do niego stało się silniejsze. Bez względu na to, czy należało tak postąpić czy nie, postanowiła powiedzieć mu prawdę. Ale teraz, kiedy już podjęła decyzję, odwlekała moment wyznania.

Przebrała się w rzeczy, które jej kupił: czarne wełniane spodnie i jasnoniebieski sweter z angory. Spodnie opinały jej zaokrąglone pośladki, a jej pełny biust wyrywał się na wolność spod puszystej wełny. Nie odrywając oczu od okna, powiedziała: - Leo wciąż tam jest. Czy zawsze spędza tyle czasu przy swoich gazetach?

Jerome przestał udawać, że pracuje, zdjął okulary i napawał się jej widokiem. - Taki ma zwyczaj. Od dawna uważam, że powinna pozwolić którejś ze swoich pracownic trochę się odciążyć, szczególnie po zmierzchu, ale ona nie

daje się na to namówić. Niezależnie od pogody, w dzień i w nocy tkwi na posterunku. Tak jak ci opowiadałem, jest właścicielką wielu takich kiosków i można powiedzieć nawet, że jest dość zamożna. Mogłaby sobie pozwolić na wynajęcie kogoś, kto by ją wyręczył w prowadzeniu interesów.

Jennifer założyła rękę na rękę, a gest ten uwydatnił kuszące wypukłości pod jej niebieską angorą. - Powiedz mi, od jak dawna ona ma ten kiosk?

Jerome nie mógł wytrzymać już dłużej. Chciał być blisko niej. Wstał i podszedł do Jennifer. - Nie jestem pewien. Mieszkam tu od pięciu lat i przez cały ten czas ją tu widuję.

Kiedy się zbliżył, jej oczy zogromniały, ale nie odsunęła się dalej. Ciekaw był, dlaczego. Czy ufała mu, że będzie się zachowywał, jak na dżentelmena przystało? A może sama pragnęła być blisko niego, tak samo mocno, jak on pragnął jej?

- Znasz ją dobrze?

- Nie wiem, czy ktokolwiek mógłby powiedzieć, że dobrze zna Leo. - Po chwili zastanowienia dodał jeszcze: - Może tylko Sami.

- Sammy?

- To kobieta.

- Kobieta?

- Tak, jej imię pisze się S a m i - przeliterował.

- Czy to ta sama osoba, która może podarowała ci konia na biegunach?

Kiwnął potakująco głową, wpatrując się w jej wilgotne, różowe usta. To był naturalny kolor jej warg, wyglądających zdaniem Jerome'a wprost diablo sexy.

Jennifer czując bolesne ukłucie zazdrości na myśl o kobiecie imieniem Sami, zaczęła nerwowo ssać kciuk. Jerome przytrzymał jej palec i wyjął go z jej ust. Wzdrygnęła się pod wpływem tego dotknięcia, ale trwało to tylko moment.

- Wydaje mi się, że Leo ciebie lubi - powiedziała.

- Ach, to trudno powiedzieć. Myślę, że jesteśmy po prostu w dobrych stosunkach. - Cały czas trzymał w dłoni jej kciuk, jego palce pieściły go delikatnie, czując na nim jeszcze resztkę jej śliny. Pragnął poczuć w swoich ustach smak jej ust, ich wilgoć, miękkość porównywalną z płatkami róży. Pragnął tego

tak bardzo, że przestawał w ogóle myśleć o tym, co mówi., - Odkąd tu zamieszkałem, widzę ją : praktycznie każdego dnia. Zamiast prenumerować czasopisma, kupuję je po prostu od niej. Jeśli, co się czasami zdarza, zapomnę o tym, mam jeszcze inny kiosk tuż obok mojego biura.

- Też należy do niej?

Tempo jej oddechu wyraźnie przyśpieszyło i Jerome nagle zorientował się, że wciąż trzyma jej rękę. Puścił ją. To nie było w porządku, pomyślał. - Tak, chyba tak. Czasami widywałem ją tam również.

- Czy myślisz, że trudno się z nią zapoznać?

Starał się skoncentrować na temacie rozmowy. - Rzeczywiście, dość trudno. Chciałbym poznać ją bliżej, ale ona jest bardzo zamknięta w sobie. Wiele razy na przykład prosiłem ją, żeby mówiła do mnie po imieniu, ale nigdy nie zdołałem jej na to namówić i nazywa mnie zawsze panem Mailerem. Mimo to naprawdę ją lubię. Mówią o niej, że zna więcej ludzi niż jest jezior w Minnesocie.

- A jednak mówiłeś, że twoja przyjaciółka Sami zna ją dobrze.

- Och, Sami mogłaby blisko zaprzyjaźnić się nawet z drzewem. - Mówiąc to, ujął w palce kosmyk jej jedwabistych brązowych włosów, które błyszczącymi falami opadały na niebieski sweter. Nie był w stanie panować nad sobą dłużej.

Ich oczy spotkały się i utonęły w sobie. Wydawało mu się, że czyta w jej wzroku jakieś kuszące przesłanie, a może tylko

pragnął, by tak było. Jennifer była taka inna od znanych mu kobiet, że cała jego wiedza na temat kobiecego charakteru wydawała mu się teraz nieprzydatna. Wielkimi krokami rzucił się do baru i nalał sobie mocnego drinka. Dopiero jak ochłonie i odzyska równowagę, odwróci się z powrotem w jej stronę, postanowił. Ona natomiast nie ruszyła się ani na krok.

- Jesteś dziś dość gadatliwa - zauważył po chwili.

- Ach, chciałam się tylko dowiedzieć czegoś na temat Leo. Nie sądzę, żebym się jej spodobała. Wrócił do niej, nie mogąc oprzeć się jej sile przyciągania. - Wydaje ci się tylko - powiedział, kładąc

jej dłoń na ramieniu, by rozproszyć jej wątpliwości a gdyby nawet, to i tak nie masz się czym przejmować. - Boże, jak on uwielbiał ją dotykać!

Wszystko jest nie tak, myślała Jennifer. a serce tłukło się jak oszalałe w jej piersi. Za dużo kłamstw - zaległo między nimi. Chyba nadszedł już odpowiedni moment, żeby z tym skończyć. Nie może sobie pozwolić na odkładanie tego na później. Zaczerpnęła głęboko tchu i zmusiła się do oderwania się od niego.

- W porządku - zgodził się, czegoż u diabła mógł się spodziewać, miała prawo nie chcieć, żeby ją dotykał. Usiadł powoli.

Jennifer próbowała jakoś zebrać swe siły, przywołać na pomoc całą swą odwagę. Najwyższa pora, by przywołać z powrotem te przerażające wydarzenia, które ją tu sprowadziły.

- Dwa dni wcześniej, zanim spotkałam cię w tym barze - zaczęła w końcu - wyszłam z naszego mieszkania, by zrobić zakupy. Pogoda była ohydna, było deszczowo, a niebo zasnuwane chmurami. - Przerwała na moment. Kiedy wróciłam po południu do domu, zastałam otwarte drzwi. Nie zdziwiło mnie to, pomyślałam po prostu, że Richard poszedł wyrzucić śmieci albo nadać list na pocztę.

Znowu na chwilę zawiesiła głos. To było to, o czym tak bardzo starała się zapomnieć przez te okropne cztery dni.

- Kiedy weszłam do mieszkania, całe ręce zajęte miałam pakunkami, więc na początku nie zobaczyłam go. Ale od razu zauważyłam, że dom był kompletnie splądrowany. Zupełnie tak samo, jak twój, nasze rzeczy leżały porozrzucane po całej podłodze. - Głos zaczął się jej łamać, a z oczu popłynęły strugi łez.

- Weszłam parę kroków dalej do living - roomu i wtedy zobaczyłam go. Richard leżał na ziemi w kałuży krwi... Nie żył już...

Jerome był zupełnie oszołomiony, ale jej łzy skłoniły go do wstania. Chciał podejść do niej, wziąć ją w ramiona i próbować jakoś uspokoić, ale cofnęła się.

- Nie, proszę cię, chciałabym skończyć. - Łzy kapały jej po policzkach, ale ciągnęła dalej swą monotonną litanie: - Wyraźnie pamiętam, że miałam ochotę przeraźliwie wrzasnąć, ale jakoś nie mogłam. Jakbym miała na gardle zaciśniętą pętlę. Nie mogłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Zaraz potem po raz pierwszy usłyszałam hałasy dochodzące z sypialni. Wtedy pakunki wyslizgnęły mi się z rąk, ale nie słyszałam, jak upadały na podłogę, bo hałas z sąsiedniego pokoju był zbyt głośny. Zrobiłam kilka kroków w kierunku sypialni i zobaczyłam mężczyznę strzelającego w zamki szuflad naszego biurka. Widziałam go już przedtem. Nazywa się Brewster i przyszedł do mieszkania kilka dni wcześniej. Pokłócili się wtedy z Richardem nie na żarty. Zdałam sobie sprawę, że jeśli Brewster mnie zobaczy, zabije mnie również... i że Richardowi nic już nie mogę pomóc. Musiałam stamtąd wyjść. Uciekłam, biorąc ze sobą tylko torebkę i płaszcz przeciwdeszczowy, a w dwa dni później zobaczyłam cię w barze.

Uczucia zbyt liczne i zbyt sprzeczne, by można je określić, kłębiły się w jego głowie. Przez chwilę zachowywał zupełny spokój, po czym zapytał: - czy to znaczy, że ktoś zamordował twojego męża, a teraz grozi śmiercią tobie?

Skinęła głową. Po jej pobladłej twarzy spływały łzy. Jerome wyciągnął z kieszeni czystą chusteczkę i podał jej. Ciężko mu było uwierzyć w to wszystko.

Nagle coś nim wstrząsnęło. Ona nie była mężatką. Odczuł ulgę, że nie była niczyją żoną i jednocześnie złość na siebie samego, że ta wiadomość sprawiła mu tyle przyjemności.

Jennifer patrzyła jak na jego twarzy malują się sprzeczne uczucia i było jej przykro, ponieważ wiedziała, że to ona jest przyczyną tych wewnętrznych konfliktów. - Jerome, zrozum, proszę, dlaczego uważałam, że powinnam cię okłamać. Richard został zabity, poszukiwało mnie co najmniej dwóch ludzi. Myślałam, że bezpieczniej będzie nie mówić ci, że ukrywam się przed mordercą.

- Do diabła! - w okrzyku tym była cała frustracja, jaka się w nim nagromadziła. Jerome potarł się ręką po karku. - Jennifer przepraszam cię, że nie byłem dla ciebie dość miły, ale jeśli oczekujesz ode mnie zrozumienia, powinnaś i ty zrozumieć mnie. Trudno mi w to wszystko uwierzyć.

- Wiem.

- Naprawdę? - spojrzał na nią surowo. - Mam co do tego wątpliwości. W każdym razie jedno wydaje się oczywiste. Powinniśmy pójść na policję.

Przerwała mu ruchem ręki.

- Poczekaj, to nie wszystko. Jest jeszcze coś. - Co?

- Po pierwsze, tak naprawdę nazywam się Prescott, nie Blake.

- Masz na nazwisko Prescott? powtórzył Jerome powoli, z niedowierzaniem.

- Blake to było nazwisko, które dostaliśmy jako przykrycie. Widzisz... Richard... Richard był moim bratem. Był agentem Narodowej Organizacji Bezpieczeństwa. Mieliśmy tu w St. Paul zadanie do wykonania i...

- Richard nie był twoim mężem? - przerwał jej Jerome. - W rzeczywistości wcale nie byłaś mężatką? - Kiedyś byłam. Jestem wdową, już od kilku lat. Mój mąż też był agentem. Zginął podczas akcji. Od jego śmierci pracowałam w NOB jako sekretarka i mieszałam z Richardem w Waszyngtonie. - Spojrzała na niego. - I to był drugi powód, dlaczego od razu nie powiedziałam ci prawdy. Całe lata żyłam na obrzeżu środowiska pracowników wywiadu i nauczyłam się, że nigdy, w żadnych okolicznościach, nie mówi się niczego nikomu oprócz bezpośredniego przełożonego w organizacji. Jerome potrząsnął głową, oszołomiony. - To zupełnie fantastyczna historia.

- Niestety, to nie jest fantastyczna historia. Takie było moje życie i to dość długo. - Potarła czoło dwoma palcami. - Ostatnio martwiłam się o Richarda. Zachowywał się dziwnie, ciągle był zaaferowany i zdenerwowany. W każdym razie powiedziałam mu, żeby pozwolił mi się włączyć do tej sprawy. Zgodził się zabrać mnie ze sobą, w roli jego żony, ponieważ myślał, że to zadanie jest względnie proste.

- Jak widać, jednak nie było. Czy masz jakiś pomysł, czy może jakiś trop, żeby zrozumieć, co się stało?

- Wiem tylko, że Richard został skierowany do pracy w MallTech, korporacji, która ma siedzibę na peryferiach St. Paul. MallTech zaprojektowała nowy system broni dla rządu, a NOB odkryła, że w firmie są przecieki. Zadanie Richarda polegało na tym, żeby oferując plany systemu ustalić, kto jest zainteresowany ich zdobyciem. Pojechaliśmy do Szwajcarii, udając, że to nasz miesiąc miodowy. Kiedy tam byliśmy,

Richard spotkał się z mężczyzną, który nazywał się Gardner Benjamin, ale nie wiem, czy sprzedał mu te plany czy nie.

- Rozumiem. Czy zwróciłaś się do Narodowej Organizacji Bezpieczeństwa z prośbą o pomoc?

- Tak. Rano, kiedy byłeś w pracy. Ale człowiek, do którego miałam zadzwonić... - zrobiła nieokreślony gest ręką.

- Uznałam, że nie mogę mu ufać.

- Dlaczego nie? Kim on jest?

- Nazywa się Wainright. Był przełożonym Richarda.

- Co sprawiło, że uznałaś, że nie możesz mu ufać?

- Kilka rzeczy, które odkryłam. Po pierwsze, w danych okolicznościach był bardziej zdenerwowany niż powinien być, jakby chodziło tylko o to, że nie zadzwoniłam wcześniej. A potem powiedział mi, że to on posłał po mnie tych dwóch mężczyzn. Pewnie uważał, że ta wiadomość mnie uspokoi, ale skutek był odwrotny. Przeraziło mnie to. Dlaczego miałyby posyłać za mną dwóch takich ludzi? Wiedziałam, że to mordercy na długo przedtem, zanim znalazłeś przy nich broń.

- Utkwiła w nim spojrzenie swych brązowych oczu. - Nadal się boję, szczególnie o ciebie. Jesteś w takim samym niebezpieczeństwie, jak ja.

- Poradzę sobie z tym. - Dotknął czule jej policzka, pragnąc, by pojawił się na nim dołeczek. - Musimy zawiadomić policję, to podstawowa sprawa. - Leciutko odgarnął jej włosy z twarzy. - Już późno, jak myślisz, dasz radę zasnąć?

- Nie - przyznała z wymuszonym uśmiechem. - Chyba nie, czuję się zupełnie wykończona. Nigdy się nie dowiesz, ile odwagi kosztowało mnie powiedzenie ci tego wszystkiego.

- Mam wrażenie, że jeszcze więcej odwagi potrzeba było, by samotnie dźwigać to brzemie tak długo. - Uśmiechnął się do niej. - Wiesz, odkąd się spotkaliśmy, cały czas żyjemy w wielkim napięciu. Ani razu nie mieliśmy okazji spokojnie

razem posiedzieć. Mam pomysł, zrobmy sobie gorącej czekolady i odpocznijmy trochę.

- Bardzo chętnie. - Jennifer patrzyła za nim, nim zniknął w drzwiach kuchni. Po raz pierwszy uśmiechnął się do niej tak szczerze i naturalnie. Jej serce zabiło nadzieją. Czy to możliwe, by wreszcie stało się coś dobrego, by skończył się ten cały koszmar?

Kilka minut później siedzieli oboje na podłodze, oparci plecami o kanapę, wpatrując się w strzelające w kominku płomienie.

- Jerome - powiedziała poważnie - chciałabym ci jakoś wynagrodzić to, że twój koń na biegunach został zniszczony.

Wzruszył lekceważąco ramionami.

- Zapomnij o tym.

- Nie, nie zapomnę - upierała się dalej i pociągnęła łyk czekolady. - Wyobraź sobie, że miałam konia, kiedy byłam małą dziewczynką.

- Naprawdę? - spojrzał na nią z zainteresowaniem.

Skinęła twierdząco głową. - Oczywiście, nie był taki wielki i wspaniały jak twój, ale przejechałam na nim wiele mil.

Okręcił wokół palca kosmyk jej brązowych włosów. - Żałuję, że cię nie znałem, kiedy byłaś małą dziewczynką. Musiałaś złamać wiele serc, bo teraz na pewno łamiesz.

Bicie jej pulsusa stało się nierówne. Odpowiedziała, tracąc oddech. - Wydaje mi się, że nie złamałam żadnego serca.

- Miejmy nadzieje, że ten rezultat nie ulegnie zmianie - wyszeptał.

Pokój wokół nich był ciemny, tylko przed nimi płonął kominek. Oboje odprężyli się nieco, choć w ich wzajemnych stosunkach nie brak było również oporu i ostrożności.

- Powiedz mi, jaka byłaś, kiedy byłaś małą dziewczynką - nalegał.

- Naprawdę cię to interesuje?

- Naprawdę.

- Dobrze, niech sobie przypomnę. Miałam szczęśliwe dzieciństwo. Richard był dwa lata starszy. Byliśmy bardzo zżyci ze sobą, strasznie mnie rozpieszczał.

- Założę się, że nie było to trudne.

W jej lewym policzku pojawił się wreszcie dołeczek. Jerome nie mógł oderwać od niego oczu.

- Dziękuję ci, ale jestem pewna, że byłam za bardzo rozpuszczona. Pamiętam, że lubiłam się bawić w przebieranki, a Richard bawił się ze mną. Mama dała mi kiedyś starą koronkową suknię. Była biała, a ja myślałam, że jest najpiękniejsza na świecie. Wkładałam ją i w pantoflach na wysokich obcasach obchodziłam dom, udając, że jestem księżniczką.

- A co robił Richard?

- A on był moim księciem.

Roześmiała się, a Jerome wstrzymał oddech. Blask płomieni oświetlał jej twarz, podkreślając nieskazitelną, subtelną i namiętną urodę. Myśl, że poznał tylko znikomą część tej namiętności poruszała go.

- Mieliśmy dużego perskiego kota - mówiła dalej. Uważaliśmy, że to przebrany smok i Richard walczył z nim po całym przedpokoju, dopóki mama nie zaczynała na nas krzyczeć.

- Założę się, że kot też nie był z tego zadowolony.

- Na pewno nie był - zachichotała, przypominając to sobie. - Był naprawdę pozbawiony poczucia humoru. Syczał i prychał przez całą walkę, zupełnie się nie przejmując swoją rolą smoka. - Jennifer na chwilę zamilkła. - Richard był wspaniałym bratem. Tak żałuję, że nie mogłam z nim być wtedy, kiedy mnie potrzebował.

Lekkim dotknięciem palca Jerome zwrócił ku sobie jej twarz. - Jennifer, nie możesz sobie wyrzucać, że cię tam nie było, zostałabyś zabita razem z nim.

- To prawda, ale to wcale nie znaczy, że jest mi przez to łatwiej. Będę opłakiwać Richarda do końca życia - westchnęła ciężko. Ale dość mówienia o mnie, porozmawiajmy może lepiej o twoim życiu. Chciałabym wiedzieć o tobie wszystko.

Choć nie ruszył się ani o krok, wydawało się, jakby odsunął się od niej trochę. - Moje dzieciństwo nie było pozbawione trosk tak, jak twoje - powiedział z zadumą.

Jennifer delikatnie położyła mu rękę na rękawie. - Opowiedz mi o tym, Jerome, bardzo cię o to proszę. Dotąd nie mówiłeś ani słowa o sobie.

Potrząsnął niechętnie głową. - To nie są przyjemne wspomnienia.

- Proszę cię, tak bardzo chciałabym wiedzieć.

Przez dłuższą chwilę pił swoją czekoladę i myślał o tym, jak rzadko zdarzało mu się wspominać komukolwiek o swoim dzieciństwie, jak bardzo nie lubił swojej przeszłości i jak nie znosił o niej opowiadać. Właściwie tylko Sami i Morgan znały różne szczegóły. Zaczął jednak mówić.

- Nigdy nie dowiedziałem się, kim był mój ojciec. O matce też nie pamiętam wiele... poza tym, że była stale pijana. Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co o niej pamiętam, jest dosyć niewyraźne, ale między nami była zawsze przepaść spowodowana alkoholizmem. Przypominam sobie tylko, że była bladą, zniszczoną, wychudzoną kobietą.

Jak trzeźwo ocenia on swoje dzieciństwo, myślała Jennifer, ale potrafiła sobie wyobrazić, jak bardzo musiał się czuć skrzywdzony jako dziecko i bardzo pragnęła ulżyć mu w jego cierpieniu. - Na pewno, niezależnie od wszystkiego, twoja matka musiała cię kochać, Jerome.

Czuając jej konsternację, kontynuował twardszym głosem:
- Jeśli czegokolwiek się w życiu nauczyłem, to tego, że nie każda kobieta nadaje się do tego, by być matką, chodzi mi o to, że kobieta może urodzić dziecko i nie potrafić go kochać. Och, to znaczy, będzie mówiła, że je kocha, tak jak moja matka mówiła, że mnie kocha; zresztą nie przypominam sobie tego dokładnie. Tak trudno mi o tym mówić, starałem się wykreślić to z pamięci. Naprawdę, strasznie to dla mnie bolesne.

- Jestem pewna, że twoja matka próbowała robić, co mogła najlepszego.

- Nie wiem, może rzeczywiście tak było. Ale odeszła i opuściła mnie.

- Opuściła cię? - Jennifer nie potrafiła ukryć swego zdumienia. - Co masz na myśli?

- Oddała mnie do domu dziecka, mówiąc mi, że to będzie dla mnie najlepsze. - Roześmiał się, ale w tym śmiechu był sam ból i głęboka uraza. - Ale nie zagrzałem tam długo miejsca. Byłem wściekły, czułem się jak wyrzucony na śmietnik, więc uciekłem szybko stamtąd i nigdy tam nie wróciłem. Moim domem stała się ulica.

- Jakie to musiało być dla ciebie straszne!

- Tak, to było straszne, stale musiałem walczyć..., walczyć o coś do zjedzenia..., o to, żeby w ogóle przeżyć, żeby znaleźć jakiś ciepły kątek do spania...

Czuła, jak serce jej krwawi na myśl o małym chłopcu, który wyrasta pozbawiony wszelkich zabawek, a, co gorsza, także pozbawiony miłości, czułości i ciepła. To wiele wyjaśniało. - Jakie to okropnie smutne - wyszeptwała.

- Życie jest bezlitosne, Jennifer, pełne różnych okropności i mogłabyś spędzić resztę życia płacząc nad tym wszystkim. Zachowaj swoje współczucie dla kogoś innego. Ja i tak jestem szczęściarzem. Poradziłem sobie przecież.

- A jak tego dokonałeś? - spytała cichutko, wpatrując się w ogień. - Jak osiągnąłeś to, że z dziecka ulicy stałeś się prawnikiem?

- Mogę ci odpowiedzieć na to jednym słowem: Sami.

- Ach, znowu ta Sami - zauważyła zniechęcona.

- Tak, znowu i zawsze. Ona jest wspaniała. Nie uwierzyłybyś, do jakiego stopnia nie ufałem ludziom, dopóki jej nie poznałem.

- I dalej im jeszcze nie ufasz - powiedziała półgłosem, a głośniej dodała: - więc co ona dla ciebie zrobiła?

- Zabrała mnie do siebie. Wiele razy miała przeze mnie nieliczne przykrości, zachowywałem się wobec niej jak zranione zwierzę, ale wcale nie zwracała na to uwagi. Najwyżej chodziła zachmurzona, ale trwało to chwilę i dalej obdarzała mnie swoją sympatią, aż przyzwyczałem się do tego życia i całkowicie dojrzałem. Ofiarowała mi na własność małe mieszkanie, miejsce, które mogłem nazwać moim prawdziwym domem i gdzie mogłem rozwinąć moje zdolności. Umożliwiła mi kontynuowanie nauki, a gdy zacząłem na serio interesować się prawem, na własny koszt posłała mnie na studia prawnicze.

- A co ty zrobiłeś dla niej? - Robiła co mogła, ale nie była w stanie powstrzymać sarkastycznej nuty w swoim głosie.

Chyba nie zauważył tego tonu. - Nic. A przynajmniej nic takiego, co dałoby się porównać z tym, co ona dla mnie zrobiła.

- To znaczy, co konkretnie? Nie rozumiem cię. - Co?

- Och, nienawidzę jej!

- Nie rozumiem cię, Jennifer. Po prostu jej nie znasz. Ona polubi cię na pewno.

- Ach, na pewno nie! Zresztą wcale nie będę chciała się z nią spotkać.

- Znając Sami, nie będziesz miała wyboru. Jak tylko dowie się o twoim istnieniu, nie spocznie, dopóki się nie poznacie.

- Wygląda na to, że jest to nadzwyczajna osoba! - Jennifer zauważyła zazdrośnie.

- Tak, jak i ty - szepnął, biorąc ją w ramiona i gorąco całując.

Cała wtuliła się w niego, jego namiętność utożsamiając z własną i odwzajemniając ją dziesięciokrotnie mocniej. Pragnęła go już pierwszej ich wspólnej nocy, i teraz, gdy znowu znalazła się w jego objęciach, wiedziała, że naprawdę go kocha. Jego uśmiech, dotyk jego rąk, smak ust były jej równie niezbędne, jak powietrze do oddychania. Świadomość, że on tak bardzo potrzebuje miłości, której był jako dziecko pozbawiony, stała się dla niej nagle niesłychanie ważna. Bo myśl, że i on mógłby ją pokochać, wydawała się jej tak nie do spełnienia, że mogłaby się tylko modlić, by to się w końcu ziściło.

Wsunęła rękę za jego koszulę, drugą odrywając gwałtownie guziczki swojego stanika. Pragnęła poczuć bliskość jego ciała, wnikać w ciepło skóry, doświadczyć żaru jego zmysłów.

Jerome'owi wirowało w głowie, gdy w końcu odsunął się od niej. Zmagając się sam ze sobą, walczył szarpany rozterkami. Nie, myślał cały czas, nie tutaj, nie teraz.

- Cały czas jeszcze nie ufasz mi, prawda, Jerome? - Jej głos drżał niepewnie w pokoju rozświetlonym tylko ogniem na kominku.

Z jękiem przyciągnął ją do siebie, wtulając twarz w jej kark i wdychając tak kojarzący mu się z wiosną zapach jej perfum. Co dalej? Bóg świadkiem, pragnął jej ze wszystkich sił, ale coś..., coś jednak go jeszcze powstrzymywało.

- Jennifer, nie gniewaj się. Chciałbym najpierw wszystko wyjaśnić. - Ujął w dłonie jej piękną twarz. - Proszę, postaraj się mnie zrozumieć.

- Rozumiem cię. - Jej wargi były całe obrzmiałe od jego pocałunków. Musnąwszy jeszcze w przelocie jego usta, poczuła, jak przeszedł go dreszcz. - Przeszedłeś przeze mnie tak dużo, Jerome. Postaram ci się to jakoś wynagrodzić. Obiecuję.

Jerome miał wyznaczone spotkanie, którego nie mógł odwołać. Najciszej, jak tylko potrafił, przeszedł przez living - room, zmierzając do drzwi wyjściowych, ale Jennifer już nie spała. Pochylił się i pocałował ją czule. Jej wargi wygięły się łagodnie, więc drugi pocałunek złożył na kuszącym dołeczku w policzku.

- Zobaczymy się w południe - szepnął. - Załatwię wszystkie sprawy szybko i będziemy mieli czas dla siebie.

Uśmiechnęła się do niego. - Będę gotowa.

Jennifer po jego wyjściu leżała nadal na kanapie, zastanawiając się nad tym, co powiedział. Czas dla siebie. Jerome nie użył słowa „miłość” i czuła, że zapewne nie chciał. Nie miała mu tego za złe. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie byłoby łatwo zdobyć jego zaufanie i miłość, a okoliczności, w jakich się poznali, trudno byłoby nazwać sprzyjającymi.

Dziś jednak to wszystko miało ulec zmianie. Z uśmiechem odrzuciła kołdrę. Miała dużo do zrobienia, zanim on wróci do domu.

W południe Jerome zbliżył się do drzwi na palcach, wstrzymując oddech. Przekręcił klucz, pchnął drzwi i stanął jak wryty.

Na podłodze wiły się tory najnowocześniejszej i najstaranniej wykonanej kolejki elektrycznej. Łączyły kuchnię z living - roomem i jadalnią. Były tam tunele, estakady, wieża

ciśnień, góry, jeziora i drzewa, a nawet miniaturowe miasteczko i stacja kolejowa z figurkami podróżnych.

Pociągi były dwa: pierwszy ciągnięty przez parowóz z węglarką, składał się z kilku wagonów osobowych i restauracyjnych, wagonów sypialnych, wagonu towarowego i, jakby tego było mało, z komina lokomotywy wydobywał się dym. Drugi pociąg składał się z lokomotywy spalinowej i różnych wagonów towarowych, cystern i platform do przewozu samochodów osobowych oraz ciężarowych. Oba pociągi krążyły wesoło po szynach. Ich drogi krzyżowały się, ale nigdy nie dochodziło do zderzenia. Ze świstem elektronicznych gwizdków przejeżdżały nad sztucznym wodospadem, przejeżdżały obok słupów telefonicznych, podnoszących się i opuszczanych szlabanów z migoczącymi światełkami i dzwoniącymi dzwoneczkami.

Jerome patrzył na to wszystko z otwartymi ustami. A potem zobaczył Jennifer. Stała rozpromieniona w drzwiach sypialni. - Podoba ci się?

- Podoba się? To jest wspaniałe. Ale dlaczego? Jak? Nie rozumiem.

Podeszła do niego, ostrożnie przekraczając tory i okrążając stację - To jest zabawka w zamian za konia na biegunach. - Zatoczyła koło ręką. - Wiem, że taki zestaw nie może się równać z koniem, ale sprzedawca powiedział mi, że takie kolejki to wspaniałe zabawki dla mężczyzn.

- Ale jak urządziłaś to wszystko w tak krótkim czasie?

- Zadzwoiłam do domu towarowego. Człowiek, z którym rozmawiałam, wezwał do pomocy sprzedawcę, a potem dozorca przysłał swoich dwóch chłopaków. Bawiliśmy się świetnie.

- Jennifer, nie wiem, co powiedzieć.

- Po prostu powiedz, że ci się to podoba.

- Bardzo mi się podoba. To prawdziwe чудо!

- Tak się cieszę. Bardzo chciałam to zrobić. Gdybym nie wkroczyła w twoje życie, twój koń nie zostałby zniszczony. I posłuchaj - z powagą położyła mu rękę na piersi - użyłam karty kredytowej, którą mi dałeś, ale oddam ci pieniądze, jak tylko będę mogła skorzystać ze swoich. To jest mój prezent dla ciebie.

Wzjął ją w ramiona. Dziękuję ci.

Jennifer wtuliła twarz w koszulę Jerome'a, starając się zapamiętać tę chwilę szczęścia... ponieważ przeczuwała, że nadchodzące dni nie będą tak łatwe, jak chcieliby tego oboje.

Na korytarzu komisariatu policji kłębił się tłum najróżniejszych ludzi. Jerome torował jej drogę; a ona uczepiona jego ramienia, bała się, jak nigdy w życiu. Mogła sobie łatwo wyobrazić, jak policja zareaguje na jej opowieść. Uciekła z mieszkania, zostawiając martwego Richarda na podłodze i nie zawiadomiła o tym. Jej oczy nerwowo przeczesywały tłum.

Wokół niej przesuwali się ludzie. Ich głosy wydawały się odległe i stłumione. Zrobiła olbrzymi wysiłek, żeby uwolnić się z dławiącej pajęczyny strachu. Twarze, które wydawały się zamazane, stały się znów wyraźnie widoczne. Nagle zatrzymała się i zaszokowana zakryła ręką usta.

Jerome przystanął zakłopotany. - Co się stało?

Musimy stąd wyjść! - powiedziała głosem pełnym paniki.

- O czym ty mówisz? Przecież dopiero tu przyszliśmy.

- Nie zadawaj żadnych pytań. Chodźmy już. Szybko!

Odwróciła się i skierowała na zewnątrz i Jerome nie miał innego wyboru, jak tylko iść za nią. Dopadł ją na schodach i schwycił za ramię.

- Jennifer, powiedz mi co się stało.

- To był Brewster, ten sam mężczyzna, który był wtedy w naszym mieszkaniu. Zobaczyłam go przed chwilą w komisariacie.

- O czym ty mówisz?

Spojrzała przez ramię w kierunku budynku, ale nikt za nimi nie szedł. - Opowiem ci w domu - obiecała drżącym głosem.

W wielkim marmurowym kominku Jerome'a płonął ogień. Jennifer siedziała na kanapie z kieliszkiem brandy w ręku. Jerome usadowił się na poduszce obok niej, czekając aż wypije łyk.

- Jeśli podtrzymujesz, że to na pewno był Brewster, myślę, że można by znaleźć racjonalne wytłumaczenie tego faktu. Powiedziałaś, że był po cywilnemu, więc może on nie jest policjantem. Może był tam zasięgnąć języka w jakiejś sprawie.

- On jest policjantem - stwierdziła z naciskiem. - Po prostu czuję to przez skórę.

- A więc dowiem się, co to za jeden. Od kiedy zacząłem się zajmować prawem cywilnym, nie mam zbyt wielu znajomości w policji, ale mogę znaleźć kogoś, kto je ma.

- Nie! - przerwała na chwilę, by zapalić papierosa. - Jeśli się zorientuje, że go sprawdzasz, domyśli się, że to z mojego powodu.

- Będę to robił bardzo dyskretnie, Jennifer. - Pochylił się i wyjął jej papierosa z ręki. Gasząc go, powiedział: - Nie pal więcej ode mnie, kochanie.

- Tak, masz rację, za dużo palę - zauważyła ponuro - ale jak tylko się zdenerwuję, od razu mam ochotę sięgnąć po papierosa. Ale wracając do sprawy - jedna z jej brwi wygięła się w delikatny łuk - uważam, że nie ma sensu go sprawdzać. To policjant.

- No dobrze, a może Brewster był detektywem wysłanym do waszego mieszkania, by śledzić mordercę? Potrząsnęła przecząco głową. - Przede wszystkim on nie prowadził żadnego śledztwa. Był sam i grzebał w naszych rzeczach.

Każdy to wie, włącznie ze mną, że zanim nie przeprowadzi się pewnych badań na miejscu morderstwa, nie wolno tam niczego dotykać.

- Przyznaję, że jego zachowanie było trochę niezwykle, ale...

- A jak wytłumaczysz fakt, że był u nas kilka nocy wcześniej i pokłócił się okropnie z Richardem?

- O co?

Jennifer odwróciła głowę. - Nie mam pojęcia. Richard nie chciał mnie w to wciągać. Byłam wtedy w sąsiednim pokoju, ale doskonale słyszałam ich podniesione głosy.

- W porządku - powiedział Jerome pojednawczo - przypuśćmy, że to właśnie Brewster zabił Richarda. Ale są jeszcze inni policjanci, do których możemy się zwrócić.

- Czyżby? A skąd mamy wiedzieć, którym spośród nich możemy zaufać? Jeśli Brewster był przekupiony, to może inni też są.

Jerome jęknął z rezygnacją. Jennifer utrafiła w sedno.

- Słuchaj - zaczęła niskim głosem. - Wiem, że nie informując o tym wszystkim policji, sprzeniewierzasz się swoim zasadom, i że nie powinieneś dłużej być w to zaplątany. I tak zrobiłeś dla mnie więcej, niż mogłam się spodziewać. Odejdę stąd. Nie powinnam zostać tu ani chwili dłużej.

Jerome zmusił się, by zapanować nad uczuciem paniki, która ogarnęła go na myśl o tym, że ona chce go zostawić. Nie może tego zrobić. On jej nie pozwoli.

Łagodnie lecz stanowczo ujął ją za rękę. - Nie odejdiesz, Jennifer. Nie jesteś już sama: masz mnie. Jesteśmy teraz razem.

Jennifer spojrzała na niego swoimi aksamitnymi brązowymi oczami, tak jakby patrzyła w głąb jego duszy. -

Moja gwiazda musiała być na właściwym miejscu, kiedy poszłam do tego baru i wyciągnęłam cię stamtąd.

Uśmiechnął się i pogładził ją po policzku. - Czy opowiedziałaś mi już wszystko?

- Tak wszystko.

- Musi być coś jeszcze. Pomyśl, Jennifer. Dlaczego oni ciebie śledzą? Zmarszczyła brwi. - Ponieważ wiedzą, że ja wiem, kto zabił Richarda?

- Być może. Ale ja myślę, że chodzi tu o coś jeszcze. Przeglądałaś gazety. Jakie znalazłaś wiadomości o morderstwie?

- Żadne. Ani jednej. Nic z tego nie rozumiem. Ktoś musiał się niemało natrudzić, żeby to jakoś ukryć. Niezależnie od tego, że sprawy przedstawiały się źle, Jerome wcale nie miał zamiaru się poddać. W swoim życiu nieraz znalazł się w ślepym zaułku. Postanowił zrobić to, co zawsze robił w przeszłości, wrócić do punktu wyjścia i spróbować jeszcze raz. - W porządku, zastanówmy się nad tym, co wiemy. Powiedziałaś, że ci dwaj mężczyźni, którzy dreptali ci po piętach, byli wysłani przez faceta o nazwisku Wainright, któremu - jak sądziłaś - mogłaś ufać, czego teraz nie jesteś pewna. Powiedziałaś również, że twojego brata zabił Brewster, który jest policjantem lub współpracuje z policją. Czy do tej pory wszystko się zgadza? Pokiwała głową potakująco, bardzo zachmurzona.

- Czy to może oznaczać, że śledzą cię dwie różne grupy?

- Obawiam się, że tak.

- Znakomicie, po prostu znakomicie. To stawia nas w sytuacji, w której znikąd nie możemy oczekiwać pomocy i musimy zadać sobie podstawowe pytanie: dlaczego? Przeszukiwali twój dom i mój. Musimy mieć coś, czego oni potrzebują. Ale co?

- Zaczekaj chwilę! - zaklęła delikatnie i po damsku, co, mimo powagi sytuacji, szczerze rozbawiło Jerome'a. - Nie wiem, jak mogłam o tym zapomnieć! - wykrzyknęła z przejęciem. Pogrzebała w torebce i wyjęła stamtąd błyszczącą złotą bransoletkę.

- Twoja urocza bransoletka? Widziałem ją w twojej torebce.

- Wiem. Zwykle noszę ją na rękę. Rodzice dali mi ją na szesnaste urodziny. Parę tygodni temu zepsuło mi się zapięcie, wsadziłam ją więc do torebki i zupełnie o niej zapomniałam.

Wziął od niej bransoletkę i zaczął oglądać ją dokładnie. - Jest bardzo ładna, ale z jakiego powodu ktoś mógłby chcieć ją zdobyć?

- Widzisz ten breloczek w kształcie kluczyka? Kilka miesięcy temu Richard dorobił złoty kluczyk zamiast oryginalnego, który zniszczył. Pasuje do depozytu bankowego w małym miasteczku oddalonym o około półtorej godziny drogi stąd, jadąc na północ. Richard wynajął go, zaraz po naszym powrocie z podróży do Szwajcarii. Skrytka jest na moje nazwisko. Spytał mnie, czy może tam przechować brązową kopertę z papieru pakowego.

- Z tego wniosek, że naszym następnym krokiem powinno być pojechanie tam i otworzenie tej skrytki - zauważył trzeźwo Jerome. - Czy wiesz coś więcej na temat tego kluczyka lub tego depozytu?

- Nie, chyba nie.

Jennifer swoim zwyczajem zaczęła ssać nerwowo kciuk, ale Jerome wyjął go jej z ust. - Co cię martwi?

- Myślę, że oni właśnie na to czekają, że zaprowadzę ich prosto do tego, czego tak bardzo poszukują.

- W takim razie musimy ich wyprzedzić.

- Wiesz, oni na pewno nas obserwują. Mogą pojechać za nami.

- Musimy tak się postarać, żeby nie pojechali. - Gorąco pragnął, by wyraz zagubienia zniknął z jej twarzy.

- Ty nie znasz tych ludzi, Jerome. - Potrząsnęła głową, tak że włosy opadły jej z czoła, w jej oczach tkwił głęboki niepokój.

- To prawda, nie znam, ale postaram się poznać. I tak długo, jak długo będziesz mówić mi prawdę, dam sobie radę ze wszystkim, co nas czeka.

Zanim zdążył jakoś na to zareagować, pod wpływem nagłego impulsu pochyliła się ku niemu i pocałowała go, szepcząc cichutko: - Dziękuję. - Równie szybko odsunęła się do tyłu. To był leciutki, delikatny pocałunek, ale gdy tylko jej wargi dotknęły jego ust, poczuł wstrząs o mocy. tysiąca watów. Z trudem zwalczył pokusę, by przytulić ją do siebie z powrotem.

- Jennifer - zaczął ostrożnie neutralnym głosem - chciałbym, żebyśmy wyjechali gdzieś razem, w jakieś spokojne miejsce, gdzie moglibyśmy zapomnieć o tym napięciu, w którym ostatnio żyjemy. Teraz jest piątek. Moglibyśmy wyjechać jutro rano i spędzić wspólnie kilka dni, dopóki w poniedziałek rano nie będą z powrotem otwarte banki. Zgodzisz się pojechać razem ze mną?

Bez cienia wahania kiwnęła porozumiewawczo głową.

Czuł, jak jego napięte jak postronki mięśnie rozluźniają się z ulgą. Ale powiedział tylko: - Tak, no to świetnie.

Rozdział 6

Rankiem w sobotę Jerome zadzwonił do kiosku z gazetami po przeciwnej stronie ulicy. - Leo, czy mógłbym prosić cię o przysługę? - Oczywiście, panie Mailer, słucham pana.

- Czuje się dziś nie najlepiej i myślę, że nie powinienem wychodzić z domu. Czy nie sprawiłoby ci kłopotu przynieść mi dzisiejszą gazetę? Leo wahała się tylko sekundę. - Zaraz przyjdę do pana na górę. Kilka minut później Leo zapukała do drzwi mieszkania Jerome'a.

- Przepraszam, że cię tu ściągnąłem, Leo, ale potrzebuję twojej pomocy. Gazeta to był tylko pretekst, żebyś zechciała tu przyjść.

- Nie ma sprawy - wymruczała, wkraczając majestatycznie do drogo i ze smakiem urządzonego pokoju, w którym wydawała się równie nie na miejscu jak przedtem zabytkowy koń na biegunach.

Jerome podał rękę starszej kobiecie. - Naprawdę jestem ci wdzięczny, że się zgodziłaś.. Ujęła ją niezgrabnym gestem. - Mówiłam panu, że zawsze chętnie panu pomogę.

- Doceniam to. Proszę, usiądź. Jennifer? - Puścił rękę Leo, wskazując Jennifer, że powinna się do nich przyłączyć. Zaczekał, aż wszyscy troje usiedli wygodnie i wtedy zaczął mówić: - Nie chciałem wchodzić w szczegóły przez telefon, ale pierwszą rzeczą, o jaką chciałem cię zapytać, jest to, czy nie zauważyłaś jakichś obcych kręcących się w pobliżu?

- Owszem, dwóch mężczyzn. Wynajęli narożne mieszkanie w tym domu, po lewej stronie od mojego kiosku.

- Ciekaw jestem, jak tego dokonali. Wydawało mi się, że wszystkie mieszkania w sąsiedztwie są wynajęte i że jest nawet lista oczekujących, jak coś się zwolni.

- Nie ma w tym nic dziwnego, właściciele tego mieszkania, takie stare małżeństwo, państwo Jacobsonowie,

dostali nieoczekiwanie sporą sumę pieniędzy i postanowili na jakiś czas wybrać się w podróż. Stąd mogli wynająć mieszkanie tym dwóm mężczyznom.

Jennifer bez słowa wstała z fotela i wyjrzała przez okno. Z rękami opartymi na biodrach wpatrywała się we wschodzące nad St. Paul słońce.

Obserwując cały czas zachowanie Jennifer, Leo kontynuowała swoją relację: - Mieszkanie wynajęte jest na nazwisko Gardner Benjamin.

- To nazwisko mężczyzny, którego Richard spotkał w Szwajcarii - zauważyła Jennifer posępnie. Jerome spojrział na nią z niepokojem, widząc, jak trudno jest jej ukryć drażniący ją ból. Odwrócił się znów do Leo.

- Musimy koniecznie wyjechać dzisiaj z miasta. Czy mogłabyś nam w tym pomóc?

Leo nie traciła czasu na zadawanie zbędnych pytań. - Pożyczę od mojego przyjaciela ciężarówkę dostawczą i podstawię ją pod dom. Otworzę drzwi i jedyne, co będziecie musieli zrobić, to wejść do mej. Zawiozę was na pewne miejsce na peryferiach miasta, gdzie będzie na was czekał samochód.

Jerome uśmiechnął się z zadowoleniem, ale uprzedził: - Leo, może byłoby lepiej, żebyś się w to nie mieszała sama. To może być dość niebezpieczne. Może mógłby to zrobić ktoś inny?

- Zrobię to sama - powiedziała stanowczo. - Zaufaj mi.

- Ufam ci po grób - zażartował.

Ale Leo nie miała nastroju do żartów, choć jej zniszczona pod wpływem częstego przebywania na świeżym powietrzu twarz trochę jakby złagodniała. Po chwili przybrała jednak ton kobiety interesu. - Co jeszcze mogłabym dla was zrobić? - spytała. Nie potrzebujecie rezerwacji, a może nie macie, gdzie się zatrzymać?

- Nie, dziękujemy ci. Gdy Jennifer opisała mi dzisiejszej nocy, jak wygląda to miejsce, gdzie musimy dotrzeć, zorientowałem się, że to musi być gdzieś blisko jeziora, nad którym łowiłem kiedyś ryby. Pamiętam, że są tam zupełnie miłe kwatery do wynajęcia, o tej porze roku na pewno puste. Ile czasu zajmie ci zaaranżowanie tego wszystkiego?

- Niewiele. Czy dwie godziny to nie będzie dla was za długo?

- Oczywiście, że nie. Ale, Leo, jest jeszcze jedna sprawa.
- Tak?

Jerome wręczył jej klucz. - To do mojego mieszkania. Czy sprawiłoby ci wielki kłopot, gdybyś kilka razy dziennie włączyła tu światło, tak by nikt nie zorientował się, że zniknęliśmy na cały weekend?

Leo wpatrywała się w klucz w swoim ręku. - Daje mi pan klucz do swojego mieszkania? Wie pan, co robi?

- Ależ oczywiście, Leo, przecież jesteś moją przyjaciółką. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale powiedziała poważnie: - Cieszę się, że mogę panu pomóc, panie Mailer.

Jerome uśmiechnął się do niej ciepło. Była zawsze taka tajemnicza, ale - choć sam nie wiedział dlaczego - był pewny, że może na niej polegać. Miał nadzieję, że się nie myli, wiedział bowiem, że może teraz ufać tylko swojemu instynktowi i niczemu więcej.

Z wynajęciem dwupokojowego domku, stojącego dokładnie nad samym jeziorem, nie mieli żadnych kłopotów. Jerome był pewien, że będzie im tam wygodnie. Dodatkową zaletą domku, poza przytulnymi i sympatycznymi pokojami, było jego oddalenie od innych.

Jennifer spojrzała na niego, gdy już się rozpakowali i z zadowoleniem obejrzelili urządzone w komfortowym, wczesnoamerykańskim stylu wnętrze. - Hej, wrócę za chwilę do ciebie.

- Rób, jak ci wygodnie. - Patrzył za nią, dopóki mu nie zniknęła z oczu, a potem poszedł z powrotem do saloniku. Starał się jakoś rozprostować kości po napięciu ostatnich dni. Czuł się zupełnie jak bomba z zapalonym lontem, w każdej chwili gotowa do eksplodowania. Uczciwie mówiąc, nie była to wcale wina Jennifer. To on reagował na nią tak żywiołowo. Jej wygląd, zapach, sposób, w jaki się poruszała po jego mieszkaniu - to wszystko ekscytowało go ponad wszelkie wyobrażenie.

Włożył ręce do kieszeni i odwrócił się do szerokiego okna, za którym widać było piękny, zaciszny park. A on był tu z Jennifer.

Tu, w tej malowniczej, spokojnej okolicy nie groziło im niebezpieczeństwo. Udało im się, jak sądził, wymknąć z St. Paul w całkowitej tajemnicy. A co najważniejsze, nie czekały ich już żadne problemy. Tylko rozwiązania. W poniedziałek rano pojedą do miasteczka, pójdą do banku, otworzą sejf i znajdą brakujący element układanki. A na razie mieli przed sobą cały weekend.

Za jego plecami stała Jennifer. - Jaki piękny widok - powiedziała.

- Właśnie o tym myślałem. Może obejrzelibyśmy część tego widoku z bliska? Przeszlibyśmy się nad jeziorem i zjedli wczesny obiad w klubie.

- Bardzo chętnie - odpowiedziała z uśmiechem, a w jej policzku znów się pojawił dołeczek. Popołudnie było szare. Niskie i ciężkie chmury przygniatały podobne do szkieletów gałęzie dębów i niemal czarne liście zimowych krzewów. Jennifer i Jerome szli w milczeniu wzdłuż nierównego brzegu jeziora. Liście szeleściły im pod nogami. Bokiem przemknęła samotna wiewiórka z zaoszczędzonym żołędziem. Na środku jeziora piętrzyły się białe bałwany.

Jennifer uśmiechnęła się do niego. - Gdyby jezioro nie było tak wzburzone, pokazałabym ci, jak potrafię puszczać kaczki. Wiesz, ile razy kamień odbija się od wody.

- Wierzę ci na słowo - zachichotał Jerome i chwycił ją za rękę.

- Do diabła! Masz rękę zimną jak lód. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Nie jest mi zimno. Tylko trochę w rękę. Nie chciałam przerywać spaceru. Było tak miło.

- Chodź - obrócił ją do siebie - spróbuję jakoś cię ogrzać.
- Ujął jej dłonie i położył sobie na biodrach, chowając je pod swój ocieplany płaszcz, potem wziął ją w ramiona i przytulił mocno do siebie. - A teraz jak?

- Bardzo dobrze. - Patrząc na niego, Jennifer pomyślała sobie nawet, że za dobrze. Pragnęła go chyba za mocno. Na razie postanowiła się nad tym nie zastanawiać. - Jak sądzisz, czy w tym jeziorze jest jakiś potwór? Wiesz, taki jak ten, który mieszka w Loch Ness?

Jerome udał, że bardzo zirytowało go to pytanie. - No tak, po osobie, która chciała widzieć smoka w domowym kocie, nie można spodziewać się innych zainteresowań!

Zerknęła na niego i wsunęła dłonie pod jego sweter, by lepiej je ogrzać. - Mogę się założyć, że jest i że jest to dobry potwór.

- Jak potwór może w ogóle być dobry? - spytał z roztargnieniem, czując, jak jej ręce błądzą po jego plecach.

- Ach, wiesz, on nie zawsze musiał być takim potwornym potworem. Kiedyś mógł być zupełnie inny.

- Inny?

- Uhm. Wiesz, wiele, wiele lat temu po dwóch przeciwnych stronach jeziora żyły dwa zwalczające się plemiona. Pewnego razu córka wodza jednego plemienia i syn wodza drugiego zakochali się w sobie szaleńczo, co ich ojców

przyprawiło o prawdziwą wściekłość. Kiedy zakochany młodzieniec przybył do rodziców swej wybranki, by prosić ich o jej rękę, „nie” jej ojca było tak głośne, że słycać je było z drugiej strony jeziora.

Przerwała, by zaczerpnąć powietrza. - No i, jak myślisz, co stało się potem? Szaman jej ojca zamienił przystojnego młodego człowieka w potwora! A piękna dziewczyna spędzała całe dnie, szlochając na brzegu jeziora. Szlochała i szlochała, aż głęboko na dnie jeziora usłyszał ją ukochany i zapłakał wraz z nią. Przychodziła codziennie, a któregoś dnia, po latach już nie przyszła. A teraz, kiedy potwór wypływa na powierzchnię jeziora, okoliczni mieszkańcy wiedzą, że on ich nie skrzywdzi. Wiedzą, że on tylko szuka swojej prawdziwej miłości.

Jerome popatrzał na nią przez chwilę. - Jennifer, to najgłupsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Jej śmiech rozległ się nad szaroniebieskimi wodami jeziora. - A co, panie mecenasie, ma pan lepszy pomysł?

- Pewnie, że mam - szepnął i dotknął wargami jej warg.

Jennifer mocniej przycisnęła palce do jego gładkich, silnych pleców, poddając mu się cała od razu i pragnąc ze wszystkich sił tego, o co, jak wiedziała, nie powinna go prosić. Jerome musiał sam przewyciężyć swoje osobiste zahamowania, a ona nigdy nie będzie go miała naprawdę, jeśli teraz zacznie na niego naciskać. Musi sam uporać się z sobą samym. Ona natomiast może powiedzieć mu, że go kocha, tak zdecydowała, może, a nawet powinna to zrobić.

Spoglądając w dół na jej twarz, Jerome widział ciepłe, brązowe oczy, których głębia mogła bez trudu doprowadzić mężczyznę do szaleństwa i kuszące wargi, których dotyk sprawiał, że pragnął całować je, zapominając o całym bożym świecie. Starał się zwalczyć jednak tę falę gorąca, która ogarnęła go ponownie.

- Zagrzałaś się już troszeczkę? - spytał delikatnie.

- Tak.

- To może podejźmy teraz do restauracji?

Restauracja nad brzegiem jeziora urządzona była w stylu rustykalnym, z ciężkimi dębowymi balami podtrzymującymi strop i wypastowanymi na wysoki połysk drewnianymi podłogami. Jerome i Jennifer wybrali stolik przy oknie z widokiem na jezioro.

Mięsista ryba z frytkami, mocne wino. Jak w niebie, pomyślał Jerome. Lub choćby tak blisko nieba, jak to jest możliwe w życiu. Wpatrując się z zadowoleniem w Jennifer, pociągnął następny łyk wina.

- Jerome, jest coś, o czym powinnam ci powiedzieć. - Jennifer bawiła się nerwowo nóżką swojego kieliszka.

- Słucham, Jennifer, powiedz.

- Ale to nie jest takie proste. - Jej ciemne rzęsy rzuciły głębokie cienie na policzki. - Chciałabym ci podziękować, że jesteś ze mną, że się tak mną zająłeś..., że uwierzyłeś mi, mimo że wcale ci tego nie ułatwiałam...

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc - powiedział z uśmiechem.

- Ale to jeszcze nie wszystko... Ja... zakochałam się w tobie, Jerome.

Przecież był powszechnie szanowanym, odnoszącym same sukcesy zawodowe prawnikiem. Wielu ludzi nazywało go nawet znakomitością w swej dziedzinie. Niewiele go to wzruszało. Ale jej wyznanie poruszyło go do głębi. Jennifer zaskakiwała go co chwilę, a zwłaszcza wtedy, kiedy zupełnie nie był na to przygotowany.

Mówiła dalej. - Wiem, że nie mogę oczekiwać od ciebie, że powiesz mi to samo, ale... - rozejrzała się bezradnie po sali, nie wiedząc, co ma powiedzieć dalej.

- A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? - spytał chrapliwym głosem.

- Dla mnie ma olbrzymie znaczenie, bo pragnęłam cię i pragnę, począwszy od tej pierwszej nocy. Nagle jakiś nieodparty impuls kazał mu położyć rękę na jej obciągniętym gładką pończochą kolanie.

Przesunął ją wyżej i napotkał miękkie, ciepłe miejsce tam, gdzie kończyła się pończocha na udzie. Na moment zamknął oczy, delektując się jedwabistym dotykiem jej skóry. - Czy masz coś przeciwko temu? - spytał głosem drżącym z podniecenia.

Jej spojrzenie wystarczyło mu za odpowiedź.

Kiedy wychodzili, zaczął padać śnieg. Zeszli po schodach w gasnącym świetle popołudnia. Puszyste, lekkie płatki śniegu wirowały wokół nich. Jerome otoczył Jennifer ramieniem i mocno przycisnął do siebie.

Światła restauracji zniknęły już w mroku, gdy odnaleźli ścieżkę wiodącą ich do swojego domku. Jerome nawet przez płaszcz czuł ciepło jej ciała i walczył ze sobą, by nie przytulić jej do siebie jeszcze silniej. Tak długo opierał się swoim pragnieniom, że teraz czuł się tak, jakby paliły go wszystkie nerwy. Był tylko jeden sposób uspokojenia ich.

Jerome przystanął i spojrzał na Jennifer, nie mogąc uczynić ani kroku dalej. Odkąd wkroczyła w jego życie, cały czas czekał i powstrzymywał się, tak że teraz czuł, iż nie jest w stanie czekać ani chwili dłużej. Płatki śniegu osiadały łagodnie na jej włosach. Okrył jej głowę kapturem i leciutko popchnął na pień drzewa. Rozpiął jej pelerynę i odsunął kaszmirowy golf, po czym przywarł wargami do bijącego na jej szyi pulsu.

- Och, Jerome - wyszeptała.

- Ciii - jego głos drżał - po prostu muszę cię pocałować. - Jego usta błędziły łakomie po jej karku. - Pocałować cię

naprawdę. Od tak dawna tego pragnę... - Rozpiął do końca jej pelerynę i odsuwając poły swego płaszcza, owinał je wokół niej. Dotykając ustami jej ust, stracił nad sobą wszelką kontrolę. Jej wargi były chłodną, zmrożoną zimnem, ale Jerome wsunął głębiej język i poczuł, że kryje się tam prawdziwy ogień.

Czas wokół nich płynął niezauważony, zapadał powoli wieczór, śnieg sypał gęstszy i gęstszy, a oni trwali tak, ogrzewani swoim wewnętrznym żarem. W końcu rozłączyli się jednak, ale tylko dlatego, by móc jakoś dojść wreszcie do swojego domku. Zatrzymywali się zresztą co chwilę, by się całować i tulić. Kiedy już otworzyli drzwi, żadne z nich nie miało żadnych wątpliwości, co stanie się za moment. Co musi się stać.

Ujmując ją za rękę, od razu poprowadził ją do sypialni, którą wcześniej wybrała dla siebie i w której czekało na nich wielkie łóżko z baldachimem. Przy nim, cały czas pilnując się, by nie być zbyt gwałtowny, zsunął z niej pelerynę. Potem uklękłszy przed nią, zaczął kolejno zdejmować jej buty. Odpiął zapięcie jej spódnicy i pozwolił jej opaść na podłogę. Potem wstał i delikatnie zdjął jej sweter przez głowę. Teraz Jennifer stała przed nim tylko w koronkowym staniczku i małych majteczkach, miała na sobie także pas i pończochy.

Tak długo wyobrażał sobie ten moment, ale rzeczywistość przeszła wszelkie jego wyobrażenia. Z błyszczącymi włosami spadającymi na ramiona i jaśniejącą w półmroku skórą w odcieniu morelowego atłasu, wydawała mu się jednocześnie nieziemsko kusząca i niezwykle świetlista - jak żywy płomień, czekający, by ktoś go ugasił.

Nigdy nie spotkał kobiety, która choć w części byłaby tak piękna, jak Jennifer Prescott, pomyślał.

Podeszła do niego i zdjęła mu sweter. Zanurzywszy palce w gęstych, złocistorudych włoskach na jego piersi, przebiegła językiem po jego twardych sutkach.

Objął mocno dłońmi jej kształtne ramiona i popchnął ją na szerokie łóżko. Był już zupełnie gotowy, cały dygotał z pożądania. W pośpiechu odrzucił swoje majtki, a ona ściągnęła swoją bieliznę. Nie musieli mówić nic więcej, oboje wiedzieli, że nie ma już nic do dodania. Wszystkie ich męczarnie, które poprzedzały te chwile, miały za moment bezpowrotnie odpłynąć w przeszłość.

Prawie błyskawicznie wszedł w nią, wślizgując się głębiej i głębiej, dopóki nie wypełnił jej całej, tak że aż krzyknęła w najwyższej ekstazie. Już od pierwszej chwili razem było im po prostu cudownie. Ich ciała były jakby stworzone dla siebie i poruszały się razem w szalonym, ale całkowicie zharmonizowanym ze sobą rytmie, jej biodra wirowały w takt jego potężnych pchnięć, a dusza wolna była od jakichkolwiek skrępułów.

Jakby poza progiem świadomości usłyszał, jak Jennifer jęczy z rozkoszy i w tym samym czasie poczuł jej paznokcie wbijające mu się w plecy. Zacisnął kurczowo ręce na jej pośladkach i wchodził w nią coraz silniej, aż radosna kulminacja ich uczucia spowiła ich mgłą czulej słodczy i padli sobie w ramiona, ciężko dysząc po przeżytych doznaniach.

Nie kończące się chwile, chwile zawieszony poza czasem, kochankowie zawsze samotni we wszechświecie, nieświadomi tego wszystkiego, co dzieje się obok nich - śniegu, który padał i padał, otulając świat białym płaszczem, nadchodzącej i mijającej północy, gdy ziemia w swoim ruchu nieuchronnie zbliżała się do świtu..., wszystkiego, co nie dotyczy ich samych. Tak właśnie minęła noc dla Jennifer i Jerome'a, szczęśliwych kochanków, dla których nie istniało podczas

tych godzin nic poza nimi samymi, nawet niebezpieczeństwo, które czaiło się na ich drodze.

Jennifer otworzyła oczy i zobaczyła Jerome'a. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami. Nawet gdy był pogrążony we śnie, na jego twarzy malowała się ta sama siła charakteru i głęboka uczciwość, które Jennifer dostrzegła już pierwszego wieczoru ich znajomości. Mogła płakać z radości, że zdarzył się cud i że poznała tego niezwykłego mężczyznę.

- Która to godzina? - zabrzmiał obok niej okropnie zaspany głos.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi - roześmiała się.

- To bezwstydne - zauważył leniwie - taka właśnie jesteś.

- Ale tylko wtedy, gdy jestem z tobą. - Przekręciła się w jego stronę, wtulając głowę w zagięcie jego ramienia i kładąc nogę na jego nodze.

- Czy aby na pewno? - Starał się, by jego ton wyrażał powątpiewanie, ale nic z tego nie wyszło. Zdecydowanie za bardzo był zadowolony z życia. Odwracając głowę w stronę szafeczki nocnej obok łóżka, na której leżał jego zegarek, zauważył rzuconą na jej blat piękną bransoletkę Jennifer. Wziął ją do ręki. - Opowiedz mi o bransoletce, Jennifer.

- Już ci opowiadałam, dostałam ją od mamy i taty, opowiadałam ci też o kluczyku.

- A skąd wzięły się te wszystkie breloczki? Na przykład ten? - wziął do ręki maleńką złotą piłeczkę.

- Kiedy chodziłam do szkoły średniej, byłam stałą dziewczyną jednego z kapitanów naszej drużyny piłkarskiej.

- Hm, stałą. Jestem pod wrażeniem...

- A to - pokazywała mu breloczek z wygrawerowaną liczbą szesnaście - dostałam na moje cudowne szesnaste urodziny, to jest z kolei mój znak zodiaku, a to emblemat mojej szkoły w Wirginii. Uff, o mnie już dosyć. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o tobie. - Odsunęła jego rękę,

która podejrzanie blisko znalazła się obok wrażliwego zagłębienia pomiędzy jej nogami i oparła się na łokciu.

- Na przykład czym się zajmowałeś, jak byłeś młody, może roznosiłeś gazety? Nachylił się do niej. - Nie, sprzedawałem mapy w domach gwiazd.

- Jakich gwiazd? Przecież żadne gwiazdy filmowe nie mają domów w St. Paul!

- No właśnie. - Pochylił się jeszcze niżej i zaczął całować jej usta, coraz bardziej podniecony, ponieważ wyczuł, że i ona go pragnie.

Wziął jedną z jej piersi i ścisnął ją, rozkoszując się jej miękkością i okrągłym kształtem. Sutek nachylił się, a jego usta zamknęły się wokół uroczego pączka i zaczęły go ssać coraz mocniej, aż z jej warg wyrwał się jęk rozkoszy.

Płoneła z pragnienia. Chwyliła palcami jego włosy i przyciskała jego głowę do siebie. - Tak mi dobrze

- szepnęła. Na swej delikatnej skórze czuła jego gorący oddech.

To była fantazja. To była rzeczywistość. Gorąca, pulsująca magia i dreszcze pożądania. Słodko napięte zmysły i drgające namiętnością ciała.

Następnego ranka w podziemiach małego banku wybranego przez Richarda Jennifer otworzyła prostokątne drzwiczki sejfu i wyjęła stamtąd brązową kopertę o wymiarach kartki maszynopisu, bez żadnych napisów lub znaków. Nie otworzyła jej jednak sama, lecz podała Jerome'owi.

- Proszę - powiedziała - ty zobacz.

Bezceremonialnie rozciął grzbiet koperty i wysypał zawartość na stół. Wypadła z niej druga, mniejsza koperta, podobna do tych, w jakich klienci zakładów fotograficznych otrzymują gotowe odbitki. Otworzył ją. W środku była paczka zdjęć.

Jerome obejrzał je wszystkie uważnie i podał Jennifer. - Co to jest?

- To są zdjęcia, jakie Richard i ja zrobiliśmy podczas pobytu w Szwajcarii - powiedziała przyglądając się im.

Jerome potrząsnął głową. - To nie ma sensu. Nie wierzę, żeby Richard wynajął sejf tylko po to, by w nim przechowywać wasze zdjęcia. Przyjrzyj się im dokładnie. Tam musi być coś jeszcze. Jakiś ślad przynajmniej na jednym z nich.

- Masz rację, ale na pierwszy rzut oka nie ma na tych fotografiach nic niezwykłego. Pamiętam, w jakich okolicznościach każde z tych zdjęć zostało zrobione i nie ma tu nic takiego, czego nie powinno być. Z drugiej strony jestem pewna, że nie są to obrazki bez znaczenia, ponieważ tylko ja wiedziałam o istnieniu tej skrytki. Cokolwiek Richard tu schował, ma to dla kogoś taką wartość, że zdecydował się na morderstwo.

- Być może odpowiedzi mogą udzielić negatywy lub nawet sama koperta - powiedział Jerome. - Intuicja mi mówi, że gdzieś tu musi być mikrofotogram - na zdjęciach, na negatywach albo na kopercie. W każdym razie mam przyjaciela, który pracuje w laboratorium i może to dla nas sprawdzić. - Otoczył ją ramionami i przycisnął mocno do siebie, tak aby mógł odczuć każdą wypukłość i każde zagłębienie jej ciała. - Nie martw się - szepnął. - Nie damy się.

Prosto z banku wrócili do mieszkania Jerome'a

Rozdział 7

Był to zimny i słotny dzień. Chłodny północny wiatr wciskał się między budynki i kłuł znękane reumatyzmem kości Leo, jak długa szara igła. Jak dotąd nigdy się jej nie zdarzyło prosić o zastępstwo. Musiała tu być. Pewną ochronę przed zimnem zapewniał jej elektryczny grzejnik schowany za ladą, a także kilka warstw ubrania i rękawiczki z obciętymi palcami, dzięki czemu mogła bez przeszkód wydawać resztę. Przed stoiskiem zatrzymał się ciemnoniebieski samochód i wysiadł z niego mężczyzna, którego nigdy

wcześniej nie widziała. Jak oceniła go Leo, miał pewnie mniej niż sześć stóp wzrostu, ale był grubokościsty i wyjątkowo silnie umięśniony, od razu też wiedziała, że nie sprowadza go do niej kupno gazety. Miała rację.

- Dzień dobry - powiedział z uśmiechem, który zapewne uważał za szczególnie przymilny - ładną pogodę dzisiaj mamy, prawda? Może trochę rzeczywiście za zimno, ale bardzo ładnie, bardzo ładnie.

Przyznała mu rację, potakując uroczyście głową.

- Ma tu pani świetny punkt - pochwalił, kręcąc szyją na boki, tak że obejmował wzrokiem całe sto osiemdziesiąt stopni. - Może pani tu wiele zobaczyć - utkwiał w niej oczy o źrenicach czarnych, jak burzowe chmury - na przykład, kto tu przechodzi przez ulicę.

Leo nie odpowiadała ani słowem.

- Potrzebowałbym od pani paru informacji.
- To znaczy, kto potrzebowałby?
- Jestem z Komendy Policji w St. Paul.
- W takim razie ma pan pewnie jakąś legitymację.

Lekki skurcz niechęci przeleciał przez jego twarz, ale wyciągnął z kieszeni odznakę i podał jej. Było tam napisane: „Charles Brewster, porucznik, Komenda Policji w St. Paul”.

- Tak, jak powiedziałem, potrzebuję paru informacji. - Schował odznakę z powrotem do kieszeni płaszcza i wyjął stamtąd zdjęcie pięknej, ciemnowłosej kobiety. - Czy widziała pani gdzieś tutaj kręcącą się tę kobietę, może wchodzącą do tego budynku po drugiej stronie ulicy?

Leo uważnie przyglądała się fotografii. Oczywiście, od razu rozpoznała na niej kobietę, którą przedstawił jej Jerome Mailer. - Nie nigdy jej tu nie widziałam. - Zwróciła mu zdjęcie.

- Jest pani pewna?

- Na sto procent.

- Przecież ma tu pani świetny punkt obserwacyjny. Hm, naprawdę trudno uwierzyć.

- Ja tylko odpowiedziałam na pana pytanie, poruczniku. To wszystko. A teraz przepraszam pana, ale mam tu masę roboty.

Obrzucił ją uważnym, podejrzliwym spojrzeniem. - Mam wrażenie, że coś się tu nie zgadza. Warto może byłoby zajrzeć do pani przeszłości. Może wtedy pani pamięć się poprawi. Wrócę tu jeszcze.

- Jestem pewna, że pan wróci, poruczniku Brewster.

Patrzyła za nim, jak wsiadał do samochodu. Przeszedł ją dreszcz, ale to nie przenikliwe zimno było tego powodem. Co zrobi, jeśli Brewster odkryje jej sekret? Myślała o tym naprawdę przerażona.

Jennifer odwiesiła słuchawkę telefonu i zatrzasnęła książkę telefoniczną. Obdzwoniła już wszystkie szpitale i Richarda nie było w żadnym z nich. Prawdopodobieństwo, że Richard przeżył tę masakrę było znikome, ale myśl o tym ciągle chodziła jej po głowie. Dlaczego w gazetach nie było żadnych informacji o morderstwie? I co w takim razie stało się z jego ciałem?

Ciepłej otuliła się aksamitnym szlafrokiem Jerome'a. Ciężko jej przychodziło oswoić się z myślą, że jej brat leży gdzieś zimny, martwy i przejmująco samotny. Gdy jej mąż został zabity, Richard jako jedyny nalegał, by się do niego wprowadziła. Nikt inny z jej przyjaciół tego nie proponował. Zresztą Richard właściwie nie miał innego wyjścia, byli po prostu bardzo do siebie przywiązani.

Buczenie interkomu przerwało jej te myśli. Jerome dopiero co odświeżony pod prysznicem, wyszedł z łazienki z ręcznikiem wokół bioder i podniósł słuchawkę.

- Tak? Kto? Och, do licha. Tak, oczywiście. Równie dobrze możesz go spokojnie wysłać. Chyba nie możesz zrobić nic więcej, co? - wykrzykiwał.

- Z kim rozmawiałeś? - zapytała Jennifer, nie mogąc ukryć niepokoju w głosie.

- Tylko z facetem, który ma na imię Eugene. Nie martw się, nic się nie stało. Wpuść go tu, proszę, za chwilę, a ja pójde coś na siebie włożyć.

- Zaczekaj! Kto to jest ten jakiś Eugene? - zawołała do niego, ale Jerome wyszedł już z pokoju. Pięć minut później, nie bez lęku, Jennifer, otworzyła drzwi i od razu cofnęła się przerażona. Mężczyzna, który stał przed nią, był dosłownie wielki jak góra. Wypełniał sobą cały otwór wejściowy i zerkał na nią podejrzliwie.

- Czy zastałem pana Mailera? - jego głos brzmiał równie potężnie jak wulkan podczas wybuchu. Jennifer cofnęła się jeszcze o krok do tyłu. - Czy... czy to pan ma na imię Eugene? - wyjąkała z trudem. Ten mężczyzna nie miał w ogóle szyi!

- Eugene! - Jerome przywitał go, wychylając się z za niej. - Wejdź do środka. Jennifer, to jest Eugene. Eugene, to Jennifer. - Gdy dokonywał tej prezentacji, groźnie wyglądający gość wtoczył się do pokoju.

- Dzień dobry pani - przywitał ją.

- Eugene, co mogę dla ciebie zrobić? - spytał Jerome.

Wielki mężczyzna nie tracił czasu na pogaduszki i od razu przeszedł do rzeczy. - Kolacja, dzisiaj, u St. Jamesów. Sami czeka. Jerome rzucił wesołe spojrzenie na zmieszaną Jennifer. - Powiedz jej, że przyjdę. Eugene wyszedł, a on zamknął za nim drzwi.

- Kto to jest ten Eugene?

- Eugene? Ach, to goryl Sami. Oficjalnie od dwunastu lat, a nieoficjalnie - jeszcze dawniej.

- Nic nie rozumiem. Kim ona jest ta twoja Sami, że aż potrzebuje goryla?

Zawahał się na moment. - Strasznie trudno jest przykleić Sami jakąś etykietkę. Przekonasz się o tym sama wieczorem.

- Na pewno nie, wcale nie mam zamiaru przychodzić do domu tej kobiety. - Skrzyżowała ręce na piersi, gotowa do ataku. Ostatnią rzeczą, na jaką miałyby ochotę, byłoby iść na kolację do domu jednej z przyjaciółeczek Jerome'a.

- Słuchaj, przykro mi, ale i tak musimy tam pójść. Zorganizowała to wszystko po to, by móc cię dokładnie poznać i nie spocznie, dopóki nie postawi na swoim.

- O nie, nie ma mowy! Zresztą nie chciałabym wciągać nikogo więcej w moje sprawy. Wierz mi, im mniej osób wie o tym wszystkim, tym lepiej.

- Na początku też tak myślałem, ale teraz zmieniłem zdanie. Jeśli narobimy wokół ciebie dużo szumu, to twoi prześladowcy nie będą w stanie nic zdziałać bez dodatkowego hałasu, a nie znam wielu ludzi, którzy robią wokół siebie więcej szumu niż właśnie Sami.

- Może masz rację, sama nie wiem. To chyba zależy od tego, jak bardzo są zdeterminowani. Tak czy inaczej, to niczego nie zmienia, bo ja nie chcę w ogóle poznawać tej całej Sami. I zdania nie zmienię.

- Naprawdę, kochanie, nie masz wyboru - próbował ją uspokoić. - Zranilibyśmy ją tylko, gdybyśmy nie przyszli.

- Co ciebie łączy z tą kobietą? - wykrzyknęła ze złością.

- Jest moją najlepszą przyjaciółką i pójdziemy do niej.

Najlepsza przyjaciółka. - Co masz na myśli, mówiąc „pójdziemy”? To brzmi zupełnie jak królewski rozkaz.

- Nie przesadzaj, kochanie. Sami urządziła swoje kolacje przynajmniej raz w miesiącu. Przypominam sobie - uśmiechnął się do swoich myśli - jak kiedyś, ładnych parę lat temu, byłem skądinąd zajęty i próbowałem wymówić się od wieczoru u Sami. Przysłała po mnie Eugene'a. - Byłem właśnie w łóżku w towarzystwie mojej uroczej przyjaciółki, Judith. Biedna dziewczyna! Ostatnim razem jak ją widziałem, jeszcze nie mogła otrząsnąć się z szoku.

Zaśmiał się i nagle gwałtownie przyciągnął ją do siebie, całując ją, dopóki nie zaczęła drżeć w jego ramionach. - Zrób coś dla mnie - wyszeptał - pozwól mi wybrać tobie kreację na wieczór.

- Dobrze zgodziła się. Czyż mogła odpowiedzieć mu coś innego? Przecież to był Jerome, a ona kochała go.

Wyszedł zaraz, a gdy wrócił, miał ze sobą pudło, którego nigdy przedtem nie widziała. Podał je Jennifer, a ona ostrożnie otworzyła wieczko i zajrzała do środka. Spowita starannie w bibułkę leżała tam wspaniała, połyskująca suknia w odcieniu szmaragdowej zieleni. Oniemiała z zachwyty, spojrzała na Jerome'a.

Jego oczy wprost skrzyły się z radości na widok jej reakcji. Wyjąwszy suknię z pudła, podał ją do obejrzenia Jennifer. Szyta na zamówienie, jedyna i niepowtarzalna, wykonana z najdelikatniejszego naturalnego jedwabiu, miała sutą kloszową spódnicę i przylegającą do ciała górę z wielkim dekoltem.

- Jest olśniewająca, Jerome, ale dlaczego ją kupiłeś? Kupiłeś mi już przecież przedtem tyle cudownych rzeczy.

- Zobaczyłem ją na wystawie i wiedziałem od razu, że jesteś jedyną kobietą godną ją nosić.

Nie mówiąc ani słowa, Jennifer jednym ruchem ściągnęła szlafrok. Stała przed nim zupełnie naga.

Czy chciałbyś, żebym włożyła ją teraz? - spytała.

Zrobił krok w jej stronę i przyłożył jej suknię do ciała. Tkanina przylgnęła miękko do nagiej skóry, dopasowując się do jej zgrabnej sylwetki.

- Piękna wyszeptał oczarowany, nie patrząc na suknię, ale głęboko w jej oczy. I zaraz jedwabna kreacja ześlizgnęła się jej z ramion i Jennifer padła mu w objęcia.

Rozgorzał między nimi najzupełniej pierwotny ogień, gdy Jerome zaniósł Jennifer na kanapę. W ich miłosnych zmaganiach nie było niczego, co mogłoby się kojarzyć z jakimś ucywilizowaniem. Ich miłość wybuchnęła płomieniem i przeobraziła ich oboje, a wzajemne natarcia, potyczki, wtargnięcia i wydawane czułe rozkazy pochłonęły ich bez reszty.

Od pierwszego rzutu oka na dom, w którym mieli zjeść kolację, Jennifer przypomniała sobie z całą wyrazistością wszystkie powody, dla których broniła się przed przyjściem tutaj. Właściwie trudno go było nawet nazwać domem, była to okazała dwupiętrowa rezydencja, w której toczyć się mogły tylko rozmowy o olbrzymich pieniądzach i wielkich wzruszeniach i pod którą na kolistym podjeździe stało już kilka samochodów.

Jerome wysiadł pierwszy, obszedł samochód dookoła i pomógł jej wysiąść. Jej jedwabna suknia ukryta pod peleryną miękko spływała wokół ciała, ocierając się o nią tak, jakby żyła swym własnym życiem. Jennifer podziękowała w duchu Bogu - była odpowiednio ubrana.

Niemal natychmiast drzwi uchylły się poruszane niewidzialną ręką. Okazało się, że niewidzialna ręka należała do Eugene'a, który silny i niewzruszony stał tuż za drzwiami. Pomagając jej zdjąć pelerynę, Jerome powiedział. - Pamiętasz Eugene'a, prawda? To główny lokaj, a właściwie majordomus Sami.

- Główny lokaj? Ale ty chyba mówiłeś...

- Proszę do środka - zagrzmiała góra, którą Jerome nazwał głównym lokajem - czekają na was. Jerome położył jej rękę na plecach i poprowadził ją przez okazałe pokoje, w których stare meble

w różnych stylach - regencji, Królowej Anny i wiktoriańskim - współistniały w doskonałej harmonii. Wzdłuż ścian na umieszczonych wysoko półkach stały bezcenne, kruche bibeloty. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest to dom zadbany i kochany, z klasą, którą odczuwało się nawet w nocy.

- Chodźmy - powiedział, kiedy zaczęła się ociągać. - Rodzina będzie z tyłu.

- Rodzina?

- Tak. Przed laty, kiedy Sami sprowadziła się tu, usunęła kilka ścian, żeby na tyłach domu powstał jeden wielki pokój. Zaraz zobaczysz.

I rzeczywiście. Weszli przez podwójne, zawczasu otwarte drzwi. Najpierw uderzył ją głośny, szczęśliwy śmiech. Potem kolory: złoty, żółty, plamy lawendy, kolory lata.

A potem ludzie. Dwóch mężczyzn stało przy olbrzymim kominku pogrążonych w rozmowie. Jeden z nich, bardzo dystyngowany, nosił okulary w ciemnej oprawie. Drugi, wysoki brunet, był bardzo przystojny. Obaj zbliżali się do pięćdziesiątki.

Ładna kobieta o jasnopolatych włosach, przeglądała ilustrowany magazyn. U jej stóp dziewczynka i chłopiec grali

w monopoli. Poduszki w pastelowych kolorach, zabawki i książki leżały porozrzucane po całym pokoju. Dla dopełnienia tego ogólnego wrażenia zamętu obok, na pokrytej poduszkami sofie, dwoje małych dzieci przygotowywało się właśnie do fikania koziółków od jednego jej końca na drugi, a nieco dalej, w kącie pokoju, uwagę przykuwała niemal normalnej wielkości karuzela z czterema konikami.

Po środku tego całego uroczego zamieszania stała promieniująca ciepłem piękna kobieta z włosami koloru miodu, trzymając w rękach olbrzymi bukiet kwiatów. Miała włosy upięte w stylu gibsonowskim, a spod podtrzymującej je złotej opaski wysuwały się swobodnie spuszczone loki. Zanim zaczęła układać kwiaty w kryształowym wazonie, uniosła głowę i zobaczyła Jerome'a i Jennifer, stojących przy drzwiach. W jej złotych oczach zabłysła radość. - Jerome! - krzyknęła i otworzyła ramiona na powitanie, a kwiaty rozsypały się po całej podłodze. Jak na skrzydłach podbiegła do nich, szeleszcząc masą koronek koloru szampana. - Ledwo zdążyłeś na czas! Tak za tobą tęskniłam. Liczyłam sekundy.

Jerome uniósł ją do góry i pocałował.

- Cześć, kochanie.

- Jerome! - Sami przyglądała mu się badawczo. - Masz kilka siwych włosów, których wcześniej nie widziałam.

- Nie dziwi mnie to wcale. Pozwól, że ci wyjaśnię, dlaczego się pojawiły. Postawił ją na ziemię, obracając jednocześnie ku Jennifer i obejmując w talii. - To jest Samuelina Adkinson - Parker - S. James. A to, Sami, to jest Jennifer Prescott.

- Och, ależ pani jest piękna, ale wiedziałam o tym już wcześniej, wybadałam Eugene'a - rozpromieniła się Sami.

- Bezwstydnie, jeśli mam być szczery - powiedział dystyngowany mężczyzna w okularach, który przyłączył się do nich. - Ale musi pani wiedzieć, że opis Eugene'a nie oddaje

pani sprawiedliwości. - Wyciągnął rękę, a Jennifer uścisnęła ją z sympatią. - Witam. Jestem Daniel, mąż Sami i współnik Jerome'a w interesach. A ta dziewczynka przy monopoly to Danielle, nasza dziewięcioletnia córka.

Danielle uśmiechnęła się nieśmiało i Jennifer spostrzegła, że dziecko odziedziczyło po matce wspaniałe włosy, a po ojcu ciemnoniebieskie oczy.

- Ten chłopczyk na kanapie to pięcioletni synek Sami i Daniela, Samuel. Został tak nazwany na cześć dziadka Sami - powiedział Jerome.

Nawet zsuwając się do góry nogami z kanapy chłopiec wyglądał prześlicznie. Uwagę Jennifer zwróciły wpatrzony w nią poważne piwne oczy.

- Za chwilę poznasz nasze pozostałe dzieci - dodał serdecznie Daniel.

Jennifer rozejrzała się wokół oszołomiona i napotkała błękitno - zielone spojrzenie innej kobiety.

- Na początku jesteśmy trochę męczący, ale przyzwyczaisz się do nas - powiedziała, podchodząc do nich. - Jestem Morgan Falco. Siedmioletnia dziewczynka, na oparciu kanapy, która w tej chwili nie zachowuje się, jak dama, to moja córka Joy. I jest gdzieś tu jeszcze nasz syn. Och, tak, Jase - wskazała w kierunku zestawu do gry w monopoly. - Ma dwanaście lat.

- Jennifer zauważyła, że chłopiec jest dokładną repliką mężczyzny stojącego wciąż przy kominku, który, jak się jej zdawało, powinien być mężem Morgan.

Morgan potwierdziła te przypuszczenia. - A to mój mąż, Jason.

- Nie przejmuj się zapamiętywaniem imion - zawołał ruszając ku niej z wyciągniętą ręką. - Jeśli się trochę między nami pokręcisz, to w końcu zaczniesz nas rozróżniać.

- Jason - powiedziała z przyganą w głosie Morgan. - Nie ma tu żadnego „jeśli”. Oczywiście, że ona zostanie z nami na długo. To pierwsza dziewczyna, jaką Jerome przyprowadził do nas do domu.

- Do domu? To wy wszyscy tu mieszkacie? - spytała słabym głosem Jennifer.

- Nie, chociaż czasami można odnieść takie wrażenie. Jason i ja mamy własny dom niedaleko stąd.

- Wszyscy jesteście spokrewnieni?

- Oczywiście.

- Ach - Jennifer poczuła się lepiej. Policzyła ich. Wszyscy byli jakoś spokrewnieni.

- Ale nie dosłownie.

- Och. - Być może ona nie była.

- Spokrewnieni przez miłość - wyjaśniła Morgan. - Widzisz, Sami i ja wychowywałyśmy się razem, Jerome dołączył do nas, kiedy miał mniej więcej osiemnaście lat. Zawsze byliśmy razem i pomagaliśmy sobie nawzajem.

Jennifer, zupełnie zdezorientowana, spojrzała pytająco na Jasona.

- Potem ja znalazłam Jasona - uzupełniła Morgan - i przekonałam go, by się ze mną ożenił... Przystojny mężczyzna stojący u jej boku aż zachichotał na te słowa. - Rzeczywiście, bardzo się musiała, biedactwo, napracować przy tym przekonywaniu. - Spojrzał czule na żonę.

- ... a rok później Sami znalazła Daniela. Niestety Jerome'owi nie udało się znaleźć nikogo, z kim pragnęłyby zostać na zawsze. Przynajmniej do tej pory.

- Właśnie - zauważyła Sami, włączając się do rozmowy - i napawało mnie to zawsze wielką troską. Chciałabym bardzo porozmawiać z tobą na ten temat. - Objęła Jennifer ramieniem i poprowadziła w stronę wiktoriańskiej kanapy. - Powiedz mi coś o sobie - poprosiła.

- Powoli, Sami - wtrącił się Jerome - i dużo subtelniej.

Jennifer spojrzała nieprzytomnie na Jerome'a, a on uśmiechnął się do niej, dodając jej otuchy.

- Nic się nie bój, jestem z tobą. Nie zostawię cię samej. I pamiętaj, podawaj tylko swoje nazwisko, zawód, numer dowodu.

Kiedy wszyscy razem usadowili się już obok siebie na kanapie, poważnym krokiem wmaszerował do pokoju Eugene, trzymając w ramionach dwoje malutkich dzieci, każde na jednym ręku. W jego potężnym uścisku wyglądały na dosyć zagubione.

- Och, świetnie, masz okazję poznać teraz nasze bliźnięta.

. - Są nakarmione i gotowe do położenia do łóżeczek.

- Dziękuję ci, Eugene. On jest doskonałą niańką - wyznała Sami.

- Niańką? Myślałam, że Eugene jest...

- Wiesz, one mają dziewięć miesięcy. - Sami pochyliła się nad różowym zawiniątkiem z jednym bobasem. - To jest Meredith, odziedziczyła imię po mamie Daniela, a to - Eugene złożył becik z drugim maluchem na kolanach Jennifer - jest Carstairs, tak jak ojciec Daniela. Czy nie składa się naprawdę szczęśliwie, że imiona rodziców Daniela rymują się?

- Meredith i Carstairs się rymują? - powtórzyła Jennifer zmieszana.

- Oczywiście. Mówimy na nie Meri i Cary. - Sami obrzuciła wzrokiem cały pokój. I to wszyscy domownicy. Ach, jest oczywiście jeszcze Frankie. To nasza gospodyni.

- Gdzie ona jest? - spytał Jerome.

- Och, gdzieś tu - odpowiedziała Sami niezbyt przytomnie. - Eugene, gdzie jest Frankie? - zaniepokoiła się.

- W kuchni. Kolacja będzie gotowa za dziesięć minut.

- No właśnie, wiedziałam, że musi gdzieś tu być! - wykrzyknęła triumfalnie. - Ona jest francuską Kanadyjką i

naprawdę ma na imię Françoise, ale dzieci nie mogą tego dobrze wymówić, więc nazywamy ją w skrócie Frankie. Jest wspaniała. Na pewno ją polubisz - zakończyła tak, jakby wszystko było już jasne.

Samuel podszedł do Jennifer i położył jej rękę na kolanach, w jego oczach było nieme błaganie. - Czy zechciałabyś pojeździć z nami na naszej karuzeli?

- Och, kochanie, jaki to świetny pomysł! - wykrzyknęła Sami i odwróciła się do Jennifer: - Dlaczego nie mielibyście pobawić się oboje, a my w tym czasie położymy maleństwa do łóżka, co? Potem zawołamy wszystkich i zaczniemy kolację. - Wstała, mówiąc dalej: - Danielu, czy mógłbyś zanieść Cary'ego? Eugene, zobacz, proszę, czy Frankie nie potrzebuje pomocy.

Mruczając pod nosem, Eugene poszedł wypełnić jej polecenie, a Daniel, wytworny, dystyngowany prawnik utulił w ramionach syna i zaczął coś do niego mówić w zrozumiałym tylko dla dziecka języku.

Nagle uwolniona od niemowlęcia, które Eugene położył jej na kolanach już chwilę temu, Jennifer z ulgą oparła się o poduszki. Wieczór dopiero się zaczął, a ona już czuła się zmęczona. Jeszcze bardziej znużona była niecałe pół godziny później, gdy podawano do stołu. Dzieci, jak powiedziano, Jennifer, jedzą zwykle razem z dorosłymi, ale dziś wyjątkowo zjedzą kolację w kuchni, by wszyscy domownicy mogli lepiej poznać Jennifer. W wytwornie urządzonej jadalni potrawy serwował Eugene razem z malutką, ciemnooką Francuską, która nazywała go śpiewnie „Oo - jhene” i dyrygowała nim w swojej niezrozumiałej francuzczyźnie. Wyglądało na to, że mimo wszystko znakomicie się rozumieją.

- Oni się po prostu uwielbiają - powiedziała Sami do Jennifer.

- Doprawdy - Jennifer odniosła się do tej uwagi z pewnym niedowierzaniem.

Właściwie niedowierzanie czy poczucie pewnej nierzeczywistości towarzyszyło jej przez cały wieczór. Aura wszechogarniającej miłości, która unosiła się nad tym całym domem i nad tymi wyjątkowymi ludźmi, źle wpłynęła na jej nastrój. Było jej smutno. Widząc Jerome'a otoczonego miłością i okazującego swą miłość, czuła się rozdarta między swoim uczuciem do niego, a bólem serca spowodowanym zazdrością. Obawiała się, że on nigdy nie pokocha jej tak, jak kochał ich. Czy kiedykolwiek pozwoli sobie otworzyć przed nią serce, tak jak otworzył je przed nimi? Czy będzie miała kiedykolwiek taki promieniujący miłością dom jak ten i to właśnie z Jerome'em? Nie umiała znaleźć odpowiedzi na te pytania, ale ze wszystkich sił pragnęła, by tak się stało.

Jerome, który siedział przy stole obok Jennifer, cały czas wesoło dowcipkował z Morgan, ale z Jennifer czuł się zestrojony każdym swoim nerwem. Wślizgnąwszy dłoń pod dół jej sukni, gładził czule jej kolano, pragnąc dać jej do zrozumienia, że jest tu tylko z nią i dla niej i że niezależnie od obecności jego przyjaciół, to ona stale zajmuje pierwsze miejsce w jego duszy. Odkąd wkroczyła w jego życie, od niej zaczynały się i na niej kończyły wszystkie jego myśli. Czuł się tu szczęśliwy w domu Sami i Daniela, ale prawdziwego szczęścia, prawdziwej ekstazy zaznał tylko z nią, gdy byli sami, ukryci za zamkniętymi drzwiami przed całym światem, a ona spoczywała w jego ramionach.

- To naprawdę olśniewająca suknia, Jennifer - mówiła Sami. - Czy to Jerome ci ją kupił?

- Sami! - upomniała ją Morgan.

- Tak, to rzeczywiście Jerome.

- Sami - zauważył delikatnie Daniel - Jennifer może czuć się zakłopotana twoimi pytaniami. Dlaczego nie mielibyśmy mówić o czymś innym?

- W takim razie kto zacznie pierwszy? - Sami obrzuciła Jerome'a spojrzeniem iskrzącym się od pytań. - Jerome, jesteś naprawdę niemożliwy. Domyślasz się, że umieram z ciekawości, żeby się czegoś dowiedzieć!

- A ja nie mam żadnych wątpliwości, że prędzej czy później i tak się wszystkiego dowiesz - Morgan skomentowała z odrobiną ironii - ale czy nie powinniśmy raczej wziąć pod uwagę samopoczucia Jennifer? Boję się, że biedna musi się czuć tym odrobinę przytłoczona.

- Nie, ależ skąd, naprawdę nie mam nic przeciwko temu. - I choć to było dziwne, naprawdę nie miała. Nie potrzebowała przebywać z tymi ludźmi dłużej niż pięć minut, by wiedzieć, jak bardzo wszyscy się kochają. Sami była urocza i na pierwszy rzut oka widać było, że Daniel wprost ją uwielbia. Morgan i Jason także bardzo się kochali. Małżeństwa obu kobiet na pewno były szczęśliwe i trwałe. Uczucie zazdrości, z jakim myślała o Sami, zanim miała okazję ją poznać, zupełnie się teraz rozproszyło.

- No widzisz, Morgan, Jennifer nie ma nic przeciwko temu. Zaczynicie w takim razie od początku i opowiedzcie mi, jak się spotkaliście?

- Ale najpierw - wtrącił Daniel - może byś coś wreszcie zjadła, Sami. Nawet nie tknęłaś swoich jarzyn.

- Rzeczywiście - zauważył miło Jerome - z pełnymi ustami może nie byłabyś w stanie tyle mówić! Sami włożyła do ust spory kawałek szparaga, przeżuła go starannie i przełknęła.

- A zatem, Jennifer - powiedziała słodkim głosem - jakie są twoje zamiary?

- Uchylam pytanie - powiedział Jerome ze śmiechem.

- Popieram - uśmiechnął się do niego Daniel. - Ale ty powinieneś je znać.

- Mam dla ciebie propozycję, Sami. Również Jennifer nie miała szansy najeść się do syta. Ja powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, pod warunkiem, że zamilkiesz i zaczniesz jeść.

- Świetny pomysł - Sami wsunęła do ust następny kęs i spojrzała na, niego wyczekująco.

- W porządku - westchnął ciężko. - Już mówię. Jennifer i ja znamy się od niedawna. Spotkaliśmy się w przeddzień ostatniego wyjazdu Daniela do Waszyngtonu.

Nagle umilkł, bo coś kazało mu spojrzeć na Jennifer. Siedziała tu taka wątpa i uczciwa, i jak mu się wydawało, tak strasznie łatwo mógłby ją zranić, więc uznał, że nie ma prawa mówić dalej. Pomyślał sobie, że decyzja o tym, co ujawnić z jej bolesnej niedawnej przeszłości, powinna należeć do niej i tylko do niej. Ludzie zgromadzeni wokół tego stołu mogą być jego bliskimi przyjaciółmi, ale dla niej to właściwie zupełnie obcy. Sięgnął po jej rękę i pogłaskał ją serdecznie. Znaczyło to: Wybacz. Powiedziałem chyba za wiele.

Jennifer zrozumiała. Decyzję, ile i co im powiedzieć, pozostawił wyraźnie jej. Leciutko ścisnęła jego dłoń, by wiedział, że docenia jego delikatność. Ale ona w głębi duszy już podjęła decyzję - nie będzie miała nic przeciwko temu, by jego przyjaciele poznali prawdę. Kochała Jerome'a, a on kochał Sami i Morgan, i ich rodziny. Wszyscy emanowali miłością i ciepłem, które od razu obejmowało każdego, kto znalazł się w ich kręgu, a więc od dziś - mimo jej poprzednich obaw - także i ją.

Ciągnęła więc dalej już sama swą historię: - Gdy tylko się poznaliśmy, Jerome od razu zorientował się, że jestem w poważnych tarapatach.

- W tarapatach! - powtórzyła Sami.

- Co to znaczy: „w tarapatach”? - spytała Morgan szczerze zatroskana.

- Jestem wdową. - Ucichł brzęk sztućców i słowa kondolencji rozległy się wokół stołu. - Mieszkałam od śmierci męża z moim bratem Richardem, aż do końca. Ale - rzuciła krótkie spojrzenie na Jerome'a, by się upewnić, czy ma mówić dalej - on został zamordowany. - Słuchacze z wrażenia z trudem złapali powietrze, potem zamarli w oczekiwaniu. Na wszystkich twarzach malowała się powaga.

- Weszłam do domu, chwilę po tym, jak to się stało, morderca był jeszcze w środku. Przerazona uciekłam, tułałam się przez dwa dni i wtedy spotkałam Jerome'a.

- O mój Boże, Jennifer, jakie to straszne! - Sami i Morgan wykrzyknęły to prawie jednocześnie. Sami zerwała się z miejsca, obiegła stół wokół i przytuliła serdecznie Jennifer do siebie. Owionął ją zapach fiołków.

- Jakie to straszne, że musiałaś tyle przecierpieć sama! Tak się cieszę, że spotkałaś Jerome'a. Jennifer uśmiechnęła się do niej, wdzięczna za okazane zrozumienie. O wiele lepiej pojmowała teraz, jak to się stało, że mogła ona urzec dzikiego ulicznika, jakim był Jerome i zmienić na zawsze jego życie.

- Miałam szczęście, miała bardzo dużo szczęścia - powtórzyła.

Morgan położyła rękę na ramieniu męża. - Zrobimy dla ciebie, co tylko w naszej mocy.

- A co na to wszystko policja? - spytał Jason. - Czy wpadli na jakiś ślad?

- Tak naprawdę... to nie poszliśmy na policję, ponieważ uważamy, że życie Jennifer jest w niebezpieczeństwie. - Jerome opowiadał dalej: - Z tego, co mogliśmy się zorientować, szukają jej chyba dwie konkurencyjne grupy i nie zdecydowaliśmy się jeszcze, komu możemy zaufać.

- Ale policja musi zająć się tą sprawą. Niezależnie od okoliczności, chodzi tu przecież o morderstwo

- zastanawiał się Daniel. - Ktoś musiał ich o tym powiadomić.

- Niekoniecznie - oświadczył Jerome.

- Co mówisz? - kilka głosów złało się w jeden.

- Ciało Richarda zniknęło. - To była najtrudniejsza do opowiedzenia część jej relacji. Była wdzięczna Jerome'owi, że puścił jej dłoń i otoczył ją ramieniem, by wiedziała, że jest tak blisko niej jak tylko to jest możliwe. - No, i w gazetach nie było najmniejszych wzmianek o morderstwie.

Jennifer wręcz namacalnie czuła te badawcze spojrzenia, jakie wymieniali między sobą Jason i Daniel. Nie była tym wcale dotknięta. Wiedziała, że jej historia brzmi dość niewiarygodnie. Jerome uścisnął ją leciutko, pozostawiła też swoją dłoń na jego udzie. Świadomość, że dotyka go, podtrzymywała ją na duchu.

- To jest potworne! Dlaczego nie zwróciłeś się do nas po pomoc? - Sami upomniała Jerome'a.

- Przede wszystkim chciałem trzymać was od tego z daleka, dopóki sam wiedziałem, co robić. Ale teraz sprawy stanęły w martwym punkcie. Odbyliśmy właśnie małą wycieczkę do banku, w którym Richard złożył depozyt do skrytki. Odkryliśmy tam kopertę z zupełnie normalnymi, zwykłymi fotografiami, ale przypuszczamy, że rozwiązanie tej zagadki kryje się gdzieś w tej kopercie. Jeden z moich przyjaciół próbuje to dla nas wyświecić.

W tym momencie wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego, ale jeden głos przebił się nad innymi.

- Dla mnie to całkiem jasne, co trzeba zrobić. - Zapanowała cisza, a każdy spojrzął z wyczekiwaniem na Sami. - Musimy poprosić Edwarda. Edward nam pomoże.

- Thorsson! - wykrzyknął Jerome, strzeliwszy palcami. - Zupełnie o nim zapomniałem!

- Wydaje mi się, że ta dama wywiera osobliwy wpływ na twoją pamięć, Jerome. - Sami uśmiechnęła się porozumiewawczo do Jennifer.

- Och, moja droga, nie wiesz nawet połowy na ten temat - zauważył ponuro, a jego dłoń momentalnie ścisnęła ramię Jennifer, by przesłać jej w ten sposób tylko dla niej przeznaczoną czułą informację - i całe szczęście, że nie wiesz - dodał.

- Kto to jest Thorsson? - zainteresowała się Jennifer, gdy już serce wróciło jej do prawie normalnego rytmu.

- Nie pytaj - poradził Jerome.

- Eugene - Sami zawołała na cały głos. - Czy mógłbyś sprowadzić do nas Edwarda. Potrzebujemy go, żeby znalazł nam jedno ciało.

- Nie ma sprawy - powiedział olbrzym łagodnie.

Drzwi windy zasunęły się ze świstem i winda ruszyła w górę, na piętro, na którym mieszkał Jerome.

- A więc, jak ci się podobają moi przyjaciele? - zapytał Jerome, opierając się o ścianę kabiny.

- Są wspaniali. Wszyscy. Ale zwłaszcza Sami.

- Cieszę się, że ich polubiłaś.

Wyglądał na szczęśliwego. Była zadowolona, że stłumiła w sobie zazdrość, która, jak się okazało, byłaby całkiem nie na miejscu.

- No i jest jeszcze Eugene - roześmiała się tak, że zabrzmiało to w uszach Jerome'a jak dzwonek w aksamitną noc. - Ochrona, majordomus i niańka w jednej osobie.

- Oczywiście - przysunął się bliżej do niej. - Nie mogłabyś go przeoczyć, nawet gdybyś chciała.

- To prawda. Jak myślisz, czy on znajdzie tego Thorssona?

Jak ona cudownie pachnie, pomyślał. Jej zapach rozprzestrzenił się wszędzie w jego życiu: w kuchni, kiedy próbowała gotować, w jego łazience, gdzie ciągle natykał się na jej suszące się pończochy. W nocy w łóżku. Niemalże przepełniał mu serce.

- Bez wątpienia - odpowiedział czując narastające podniecenie.

W milczeniu weszli do mieszkania. Za szerokimi, odsłoniętymi oknami rozpościerała się ekscytująca mieszanina nocy, gwiazd i świateł miasta. Jennifer podeszła do okna. - Cieszę cię, że tam poszliśmy. Miałam okazję dowiedzieć się czegoś o tobie.

- Co mówisz, kochanie? - stanął za nią i zsunął pelerynę z jej ramion.

Zadrżała, czując powiew chłodnego powietrza na nagich ramionach, dopóki Jerome nie objął jej swymi ciepłymi dłońmi. Po raz pierwszy nie odpowiedziała mu na zadane pytanie. Pragnęła tylko tak trwać bez końca, czując jego cudowny dotyk. Niezależnie od tego, gdzie jej dotykał, rozkoszny żar ogarniał ją całą.

- Jennifer?

- Pokazałeś mi, że umiesz troszczyć się o innych.

- A nie jesteś ciekawa, czy troszczę się o ciebie? - w jego głosie słyhać było wyraźne drzenie. Zdjął ręce z jej szyi i cofnął się o krok.

Kiwnęła głową potakująco, kładąc rękę tam, gdzie przed chwilą była jego dłoń i próbując zatrzymać pozostawione tam ciepło.

- Troszczę się. Bardzo się troszczę. To tylko... - przerwał. Tak piekielnie trudno wytłumaczyć komuś, dlaczego on jest taki właśnie, jaki jest. Ale dla tej jednej jedynej, wyjątkowej kobiety postara się to zrobić. - To tak tylko wygląda, bo dorastałem w takich specyficznych warunkach. Czasami mam

wrażenie, że po tym okresie została mi olbrzymia dziura w sercu. Nie jestem pewny, czy w ogóle potrafię kogoś kochać.

Nachyliła się w jego stronę, a jej suknia zawirowała wokół niej jak rzucająca błyski szmaragdowa plama. - Nigdy w to nie uwierzę. Widziałam cię otoczonego miłością dziś wieczorem i widziałam, jak oddychałeś tą atmosferą, tak jakby to było coś najbardziej naturalnego pod słońcem. - Westchnęła, nie w pełni uspokojona. Nie chciała zgodzić się z jego argumentacją, ale coś, coś ją jednak zastanowiło. Jerome dał jej przecież tak wiele, ale stale oczekiwała czegoś jeszcze. - Kiedy powiedziałam ci, że cię Kocham, wiedziałam, że nie mogę oczekiwać od ciebie podobnej deklaracji. I dalej nie jestem pewna, czy kiedykolwiek usłyszę od ciebie takie wyznanie.

- Niezupełnie cię rozumiem, Jennifer. A jeśli chodzi o Sami i Morgan, to przecież sama rozumiesz, że to jest całkowicie inny rodzaj miłości. Obie ofiarowały mi swoją miłość, i to wtedy, kiedy szczególnie mocno tego potrzebowałem, miłość bez ograniczeń, bez zobowiązań i bez żadnych problemów.

- Chcesz powiedzieć, że ich uczucia niczym ci nie zagrażały. - Wszystko, czego pragnęła, to leżeć teraz pod nim, czując na sobie ciężar jego ciała.

- Może - jeśli koniecznie chcesz to tak nazwać - w jego głosie narastała złość. - Wiedziałem, że w każdej chwili mogę od nich odejść.

- Ale nie odszedłeś.

- Nie odszedłem. Ponieważ Sami była pierwszą istotą w moim życiu, o której mogłem powiedzieć, że mnie potrzebuje.

- I ja ciebie potrzebuję. Teraz, okropnie, ze wszystkich sił.

Marzył tylko o tym by ją przytulić do siebie i kochać się z nią w upojeniu, by doprowadzić ją do ekstazy, tak by nie mogła nic mówić, ale zamiast tego zmusił się do opanowania i

powiedział: - To prawda, potrzebujesz mnie. Rzeczywiście. Jesteś w tarapatkach i nikt inny poza mną nie może ci pomóc.

Nie była pewna, o co naprawdę mu chodzi. Rzuciła mu spłoszone spojrzenie. - Masz rację, tylko ty możesz mi pomóc. Więc?

- Więc co będzie z nami, gdy wszystko się wyjaśni i nie będzie ci już grozić żadne niebezpieczeństwo? Dalej zastanawiała się, do czego on zmierza. Czyżby się martwił, że gdy będzie już bezpieczna, będzie

chciała od niego odejść? Jak zauważył przed chwilą, są różne rodzaje miłości. Tak samo jest, gdy się kogoś potrzebuje. Można potrzebować różnych ludzi i od każdego potrzebować czegoś innego. Zmarszczyła brwi i spojrzała swymi ciemnymi oczami prosto mu w oczy. - Dlaczego nie mielibyśmy mówić o czymś innym?

- Co mówisz? - zerknął na nią ostrożnie. Mimo że starał się cały czas panować nad sobą, spojrzenie jej oczu pozbawiło go resztek równowagi. Co on miał zrobić, jeśli nawet jedno jej spojrzenie doprowadzało jego krew do stanu wrzenia?

Namiętność. Pragnienie. Pożądanie. Ty chcesz mnie, wiedziała. Czowała to. Pragniesz mnie tak bardzo, że aż skręcasz się z bólu. Pozwoliła swej sukni opaść na podłogę z szelestem jedwabnej mgiełki i stanęła prawie naga, w mikroskopijnych majteczkach, równie leciuteńkich, delikatnych i przezroczystych jak jej pończochy. Nawet jeśli jeszcze nie we wszystkim mi ufasz, chcesz mnie, stale chcesz mnie.

Pożądanie ogarnęło go z taką siłą, że nie był w stanie normalnie myśleć.

- Jennifer...

Schyliła się, żeby odpiąć pończochy. - Słucham, Jerome? Czy chcesz spróbować mi powiedzieć, że mnie już nie pragniesz? - Uniosła w górę nogę, wyżej niż robią to tancerki, i zsuwała z niej pończochę, najpierw z jednej, potem z drugiej

nogi, następnie odrzuciła je za siebie. - Bo jeśli masz taki zamiar, to nie trudź się. Czytam to w twoich oczach, gdy tylko na mnie spojrzysz. Ty pragniesz mnie, a ja pragnę ciebie.

Nie zastanawiając się długo, opadł przed nią na kolana.

- Masz rację przynajmniej, co do jednego - wyszeptał chrapliwie - pragnę cię! Jak bardzo cię pragnę! Jednym ruchem ręki opuścił na uda spodnie razem z majtkami.

Zanim zdążyła zaczerpnąć oddechu, zanurzył się w niej z taką siłą, że potem były to już tylko urywane westchnienia. Perfumowana miękkość, aksamitny ogień - przemykały mu przez głowę strzępy niejasnych myśli. Kiedy Jerome wziął Jennifer na ręce i zaniósł ją do sypialni, na dworze był już dzień.

Rozdział 8

Leo pojawiła się w drzwiach Jerome'a nazajutrz rano, zabezpieczona przed chłodem jeszcze grubszą niż zwykle warstwą odzieży. - Chciałabym, żeby pan wiedział, że jakiś gliniarz wypytywał o pana.

- Znasz go, Leo? - spytał Jerome.

- Powiedział, że nazywa się Brewster, ale on chyba nie jest stąd.

- Co masz na myśli?

- Mam kilku przyjaciół tu i ówdzie. Sprawdziłam go co nieco. Nie jest to policjant z komisariatu St. Paul.

- Możesz się dowiedzieć o nim czegoś więcej?

- Próbowałam, ale moje zwykłe źródła okazały się wyschnięte.

- Próbuj dalej, Leo. I dziękuję ci.

Następnie pojawiła się Sami. Kiedy Jerome otworzył drzwi, ujrzał ją w czerni z ciemną woalką na twarzy.

- Mam wiadomość - zaczęła dramatycznie.

- Świetnie, ale dlaczego się tak ubrałaś? - spytał, starając się ze wszystkich sił zachować powagę.

- Nie chciałam zwracać na siebie uwagi - szepnęła obrzucając przedpokój szybkimi spojrzeniami.

- Kochanie, nawet gdybyś miała najgorszy dzień i gdyby zależało od tego twoje życie, i tak zwróciłabyś na siebie uwagę. - Ze śmiechem wciągnął ją do środka i zamknął drzwi.

- Chciałabym, żebyś to potraktował poważnie. Twojemu życiu może grozić niebezpieczeństwo.

- Niestety, masz rację. Mamy niewiele czasu na zastanowienie. Ktokolwiek śledzi Jennifer i poszukuje informacji, jaką ona, jego zdaniem, posiada, nie będzie czekał długo.

- A propos, gdzie ona jest?

- Jeszcze śpi - odpowiedział zdawkowo, chociaż wiedział, że nie jest to cała prawda. Pamiętał - doskonale jak wyglądała, kiedy wychodził z sypialni, kompletnie wyczerpana miłosną nocą.

Sami zdjęła kapelusz i potrząsnęła głową, a jej złociste loki rozsypały się swobodnie. Opadła na najbliższe krzesło, założyła nogę na nogę i przeszła od razu do sedna sprawy. - Lubię ją.

- Ja także - odpowiedział, wiedząc, że mógłby użyć wielu innych słów na określenie uczuć, jakie żywił do Jennifer, ale wszystkie słowa mieszały się w jego umyśle, kiedy spróbował zastanowić się nad tym. Wiedział na pewno, że jego życie przed poznaniem Jennifer stało się teraz już tylko mglistym wspomnieniem i że przyszłość bez niej to coś, o czym nawet nie chciał myśleć.

- Kochasz ją - powiedziała Sami matowym głosem, wymieniając jedyne słowo, jakiego unikał, myśląc o swoich stosunkach z Jennifer. - Problem polega na tym, kiedy się do tego przyznasz.

Jerome usiadł na sofie naprzeciwko niej. - O czym ty mówisz?

- Sporo osiągnąłeś w życiu, zrobiłeś karierę. Ale jeśli się zastanowisz, będziesz musiał przyznać, że czegoś ci brakuje. Będziesz musiał pomyśleć, Jerome. To wieka szansa.

- A cóż ja innego, twoim zdaniem, robię?

- Ciągłe się kontrolujesz.

- Kontrolujesz! - zaśmiał się sarkastycznie. - Gdybyś tylko wiedziała.

- Posłuchaj mnie, Jerome. Twoje życie jest jakby podzielone na trzy przegródki: w jednej kariera, w drugiej przyjaciele, w trzeciej liczne kobiety, które dotychczas służyły ci jako rekreacja. Staraleś się, jak dotąd skutecznie, żeby ci to przesłaniało najważniejsze sprawy w twoim życiu.

- Przestań mnie męczyć, Sami.

- Robię to tylko dlatego, że cię kocham i chcę, żebyś był szczęśliwy.

Uniósł ręce do góry. - Jestem zupełnie szczęśliwy. O czym ty mówisz? Zresztą mniejsza o to, zapomnij o tym pytaniu.

- Mówię o tym, że nie chcesz się otworzyć i unikasz jakiegokolwiek poważnego zaangażowania, ponieważ w głębi serca nigdy nie pogodziłeś się z faktem, że twoja matka zostawiła cię, kiedy byłeś dzieckiem.

- Sami - powiedział znużonym głosem - jest wczesny ranek, więc bądź tak dobra i zachowaj swoją groszową psychoanalizę na inny moment. I, jeśli to możliwe, dla innej osoby.

- Jerome, zrobiłbyś wielki błąd, gdybyś z tego powodu rozstał się z Jennifer. Powinniście być razem.

- Skąd taka pewność? - zapytał po chwili milczenia.

- Na litość boską, nie przegap tej szansy.

- Nie wiem, czy potrafię - wyszeptał, nie zdając sobie nawet sprawy, że właśnie zgodził się z tym, co Sami usiłowała mu wytłumaczyć.

- Na pewno potrafisz. - Włożyła kapelusz na głowę i zaczęła palcami wpychać pod niego niesforne loki. - Pomyśl o tym. Muszę już iść.

- Dokąd idziesz?

- Pogadać chwilkę z Leo. A potem Eugene i ja zabieramy dzieci do parku.

Była już prawie za drzwiami, kiedy Jerome przypomniał sobie, po co przyszła. - Ale co to za wiadomość?

- Masz ci los! Byłabym zapomniała. Miałam ci powiedzieć, że Edward spotka się z tobą dziś o północy w zwykłym miejscu.

- Sami - roześmiał się rozbawiony. - To, co jest zwykle dla ciebie i Edwarda, jest niezwykle dla mnie. Powiedz mi, gdzie mianowicie miałbym się z nim spotkać. .

- W parku przy fontannie.

Chłód dawał się we znaki.

Było zimno. W parku nie było żywej duszy. Otulony grubym płaszczem zimowym, Jerome przestępował z nogi na nogę, usiłując się ogrzać. Świeży śnieg okrywał ziemię niewinną bielą. Stojąc samotnie na środku cichego, zimnego parku, Jerome myślał o Jennifer. Mimo najlepszych intencji już się otworzył wobec niej. Było już za późno. Znała już wszystkie jego czułe miejsca.

Opowiedział jej o matce, o której dotąd wiedziały tylko Sami i Morgan. Zabrał ją do Sami i poznał z ludźmi, których kochał najbardziej na świecie. Tak, było już za późno. Kochał ją.

Rozejrzał się po parku. Nie zauważył żadnej zasadzki. Bardzo liczył na to spotkanie. Wiedział, że jeśli ktokolwiek jest w stanie mu pomóc, to tym kimś jest Edward Thorsson. Jerome poznał go przed laty dzięki Sami. Thorsson był wtedy uważany za jedną z czołowych postaci świata przestępczego Ameryki, ale nigdy nikt mu niczego nie udowodnił. Zawsze trzymał się z daleka od Jerome'a i Sami zapewne w przekonaniu, że zbyt wielka zażyłość z nim może zaszkodzić jego młodemu przyjacielom.. Nigdy jednak nie odmawiał, jeśli go prosili o pomoc. Zachowywał nadal dostęp do wspaniałej sieci informacyjnej i Jerome nie raz miał powody dziękować mu.

Nagle z ciemności wyłoniły się sylwetki Edwarda i dwóch jego dobrze wyszkolonych ochroniarzy, którzy stanęli w stosownej odległości, wypatrując niewidocznego niebezpieczeństwa.

- Jerome - rozległ się burkliwy głos.

- Pan Thorsson.

Edward Thorsson był człowiekiem wzbudzającym automatycznie szacunek. Mimo swych prawie siedemdziesięciu lat zachował młodzieńczą sylwetkę.

- Słyszałem, że masz kłopoty.

- Można to tak określić. Czy słyszał pan coś jeszcze?

- Niewiele.

Jerome nie mógł ukryć zaskoczenia.

- To raczej niezwykła sprawa, prawda?

- Nawet bardzo - pokiwał ponuro głową. - Prawie niczego się nie dowiedziałem.

- A co z ciałem Richarda Prescottta?

- Nie ma ciała, Jerome.

- Musi być! - Jerome uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Będę się rozglądał.

- A gdyby tak poszukać w rzece?

- Gdybym myślał, że ci to pomoże, zgodziłbym się. Ale póki jest tak, jak jest, odradzam. Niech śpiąca ryba śpi. Wiesz, co mam na myśli?

Jerome skinął głową. Jeśli nawet nie wiedział dokładnie, o co Thorssonowi chodzi, rozumiał ogólny sens jego słów.

- Więc, co mam robić? - spytał zrezygnowany.

- Wycofać się i stanąć z boku.

- Nie mogę - ponuro wzruszył ramionami. - Nie mogę.

- Do diabła! - wykrzyknął Jerome. - Nic dziwnego, że tak im się spieszyło do tej informacji. Wrócił właśnie z laboratorium jednego ze swoich przyjaciół, gdzie sprawdzano słuszność jego podejrzeń. I rzeczywiście, na jednym z negatywów był mikrofotogram. Jennifer, zbyt podniecona żeby usiąść, krążyła po pokoju.

- Powiedziałeś, że była tam specyfikacja systemowa z MallTech. Co to właściwie znaczy?

- Nie mam kwalifikacji, żeby odczytywać schematy, ale zgodnie z informacją zamieszczoną na pierwszej stronie, powiedziałbym, że są to plany zaawansowanego systemu broni.

- Jesteś tego pewien?

- Niestety tak. A na każdej stronie było napisane „ściśle tajne”.

Jennifer poczuła, jak nagle robi jej się niedobrze. Przypuszczała, że sprawa jest poważna, ale nie sądziła, że aż tak...

- W naszym posiadaniu jest zresztą chyba tylko część tych planów - ciągnął dalej Jerome. - Draga połowa prawdopodobnie gdzieś zaginęła. Strony są numerowane. Gdzieś musi być inny mikrofotogram zawierający brakujące dwadzieścia pięć stron. Jak ci się wydaje, co Richard mógł z tym zrobić?

Przerwała swój nerwowy marsz po pokoju i złapała się oparcia krzesła, żeby nie upaść. - Boję się, że mógł to sprzedać.

- Jak byliście w Szwajcarii, Gardnerowi Benjaminowi?

- Jest to możliwe.

- Jak sądzisz, dlaczego sprzedał tylko połowę całej dokumentacji?

- Nie wiem na pewno. Wydaje mi się, że nie w pełni ufał ludziom, którzy byli w to zamieszani.

- A w jakim celu przetrzymywałby resztę? Chciał więcej pieniędzy? Może myślał, że doprowadzi to go do czegoś, czy kogoś jeszcze?

- Richard zawsze zajmował się rozpracowywaniem planów przeciwnika. Może czuł, że za Gardnerem Benjaminem stoi jeszcze ktoś inny, ktoś ważniejszy.

- A więc nie jest wykluczone, że zatrzymał to u siebie, mając nadzieję, że to pomoże mu dotrzeć do kogoś stojącego

wyżej w hierarchii. - Uderzył pięścią we wnętrze dłoni. - Tak, rzeczywiście tak musiało być. Tylko co my mamy z tym zrobić?

Jennifer nic mu nie odpowiedziała. Cały czas po głowie chodziło jej nazwisko Wainrighta. Był zwierzchnikiem Richarda, ale nie podjął żadnej próby, by wyciągnąć ją z kłopotów..., wprost przeciwnie, wysłał dwóch facetów, by ją..., ha, a tak naprawdę, by co z nią zrobić? Wstrząsnął nią dreszcz przerażenia, gdy przypomniała sobie grozę swojej ucieczki, te upiorne chwile, gdy nie wiedziała, gdzie ma się przed nimi schronić.

Rzuciła spojrzenie na Jerome'a. Stał odwrócony właśnie do niej plecami i nalewał sobie drinka. Był dla niej przez cały ten czas taki dobry, myślała. Kochała go tak bardzo.

Teraz jednak, gdy dowiedziała się wreszcie, o jaką stawkę toczy się cała ta gra, nie może pozwolić, by Jerome z jej powodu narażał dalej swe życie. „Tak długo, jak długo mówisz mi prawdę, będę w stanie znieść wszystko, co się wydarzy”, pamiętała, jak mówił te słowa i jak wtedy na nią patrzył. Poczuliby się zraniony i wściekły, gdyby dowiedział się, że robi jakieś plany poza jego plecami, ale z dwojga złego wolała, by miał do niej pretensje, niż by został z jej powodu zabity.

Podjęła już decyzję. Do tej pory broniła się tylko, nadszedł czas, by to ona zaczęła atakować, by to ona włączyła się do gry. Skontaktuje się z Wainrightem i postara się z nim spotkać. Jest to winna Jerome'owi i jest to winna Richardowi. Tak zrobi..

Następnego popołudnia Leo spojrzała poważnie na Jerome'a i oznajmiła mu: - Jennifer Prescott zamówiła taksówkę na godzinę za kwadrans pierwsza, dziś w nocy, kurs ma być do jednego ze składów nad rzeką.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie pewna. Mój przyjaciel Phil pracuje w tej centrali taksówek. To on mi o tym powiedział. Jerome zerknął na drugą stronę ulicy, gdzie w jego mieszkaniu na najwyższym piętrze czekała na niego

Jennifer. Czuł się tak, jakby ktoś pchnął go nożem w plecy. Co ona znowu wymyśliła? Do tej chwili był przekonany, że czas tajemnic między nimi bezpowrotnie minął. Zacisnął szczęki i odwrócił się znowu w stronę Leo.

- Wiesz coś jeszcze?

- Dyspozytor zauważył, że ona zachowywała się dość dziwnie. Zażądała, żeby taksówka czekała na nią za rogiem i żeby nie było jej widać z pana domu.

- Cholera!

- Przykro mi, Jerome, ale chciałam, żeby pan o tym wiedział..

- Oczywiście, miałaś rację, Leo, dziękuję, że pomyślałaś o tym, żeby mnie zawiadomić. - Zastanawiał się nad czymś przez chwilę. - Jak myślisz, czy ten twój znajomy taksówkarz mógłby przyjechać po nią, to znaczy, czy można byłoby tak zrobić, żeby to właśnie on, a nie ktoś inny, zabrał ją w ten kurs wieczorem?

- Phil już sam to zaproponował.

- Świetnie. - Spojrzał w dół na adres, który Leo napisała mu na skrawku papieru. - Powiedz mu że dam mu dodatkowy napiwek, jeśli pojedzie dłuższą drogą, wzdłuż rzeki. Muszę mieć trochę czasu, by być tam przed nią.

W głosie Leo pojawił się wyraźny niepokój. - Czy naprawdę musi pan tam pojechać, panie Jerome? Przecież pan nawet nie wie, z kim ona chce się tam spotkać. To może być naprawdę niebezpieczne.

Kąciki ust Jerome'a uniosły się w górę, ale nikt nie mógłby tego grymasu nazwać uśmiechem. - Leo, to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Ja ją kocham. Muszę tam być.

Jennifer leżała w ramionach Jerome'a, przytulona tak, że nie można bliżej. Przed chwilą skończyli się kochać, a ich doznania były intensywniejsze i gorętsze niż kiedykolwiek przedtem. Mieli wrażenie, jakby znaleźli się oboje nad jakąś przepaścią i z desperacką namiętnością balansowali na jej krawędzi. Nigdy dotąd Jennifer nie czuła się tak zaspokojona, nigdy dotąd nie odczuwała tak silnego wrażenia pełni. Nie pragnęła też niczego więcej, jak tylko zostać na zawsze z Jerome'em, przytulona do jego ciepłego, mocnego ciała.

Było to jednak niemożliwe. Zaraz będzie musiała go przecież opuścić. Wiedziała, że źle robi, oszukując go, ale wiedziała również, że gotowa jest zrobić gorsze rzeczy, byleby tylko on był bezpieczny. Miała zresztą nadzieję, że on zrozumie jej motywy i wybaczy jej takie postępowanie. Przyrzekła sobie w duchu, że jeśli wyjdzie żywa z całej tej sprawy, nigdy więcej już go nie okłamię.

- Jerome?

- Hmm?

Z ulgą pomyślała, że on już prawie zasypia. - Kocham cię - powiedziała cichutko, uniosła odrobinę głowę i leciuteńko pocałowała go w usta. - Nic innego nie ma znaczenia. Chciałabym, żebyś zapamiętał

to na zawsze.

Jerome, udając zasnętego, obrócił się na drugi bok, a ona z oczami pełnymi łez, leżała bez ruchu, czekając, aż on zaśnie na dobre. Doszedł do wniosku, że Jennifer zaaranżowała to nocne spotkanie w przekonaniu, że wybrała jedyne dobre wyjście. Musiała mieć rzeczywiście ważne powody, by zachować się właśnie tak, a nie inaczej. Nie czuł już do niej żalu, a gniew, jaki dotąd szarpał jego sercem, zamienił się w niepokój o jej bezpieczeństwo. Musi być przed nią na miejscu

spotkania, musi jej strzec i ochronić. Oddychał miarowo, by sądziła, że spokojnie śpi i czekał na rozwój wypadków.

Chwilę później poczuł, jak Jennifer cichutko wychodzi z łóżka i usłyszał, jak się ubiera w pośpiechu. Zatrzymała się jeszcze na sekundę, by złożyć delikatny pocałunek na jego policzku i wybiegła z domu.

Jerome błyskawicznie wstał i wciągnął ubranie.

Skład, którego adres podała Jennifer, zamawiając taksówkę, był ciemny i zimny, pachniał tekturowymi opakowaniami i trocinami. Jerome ulokował się wygodnie między stertami kartonów, konstatuując z ulgą, że udało mu się dotrzeć na miejsce jeszcze przed Jennifer. Rozglądał się wokoło, próbując przebić się jakoś wzrokiem przez ciemność, ciekaw, czy osoba, z którą umówiła się tu Jennifer, już gdzieś tu jest. Zaraz potem usłyszał skrzypnięcie drzwi.

To była Jennifer. Ostrożnie przekroczyła próg, nieświadomie wstrzymując oddech. Drżącymi palcami wyjęła z torebki latarkę i zapaliła ją. Nie chciała rozmawiać z Wainrightem wydana na pastwę ciemności. Mogła zadzwonić do Wainrighta tylko rano, po wyjściu Jerome'a do pracy. Dzisiejszego ranka, gdy zdobyła się na to i zadzwoniła do niego, tak jak sobie zaplanowała, nieomal zupełnie nie straciła głowy, gdy usłyszała w słuchawce jego nieprzyjemny, zachrypnięty głos. Zdołała jednak wykrztusić, że chce spotkać się z nim twarzą a twarzą, a on powiedział, że wszystko zorganizuje i da jej znać. Rzeczywiście, parę godzin później czyjaś ręka wsunęła pod drzwi małą karteczkę. Wainright zawiadamiał ją, że spotka się z nią o pierwszej w nocy w jednym ze składów nad rzeką. Obok adresu znalazła polecenie: „Weź ze sobą mikrofilm”. A więc jej podejrzenia były słuszne! Wainright rzeczywiście był jej wrogiem Richard słusznie go podejrzewał. To dlatego ostatnio zachowywał się tak dziwnie.

Wąski snop światła z latarki omiatał ciemne wnętrze składu, tańcząc chwiejnie po ścianach. Jennifer szukała jakiegoś kontaktu i udało jej się natrafić po chwili na całą tablicę jakichś świetlnych przycisków. Miała nadzieję, że przyciskając jeden z nich, nie uruchomi przypadkiem żadnej tajemniczej maszyny, i rzeczywiście, zapaliła tylko żarówkę, umieszczoną zresztą dokładnie pośrodku hali. Oświetlała ona, co prawda niewiele, nienaturalnie wyolbrzymiając cienie i zatapiając w mroku krańce pomieszczenia, ale dała jej, nieważne że iluzoryczne, poczucie względnego bezpieczeństwa.

Siwowłosa kobieta głębiej ukryła się za okazałym podnośnikiem, który od dłuższej chwili służył jej za schronienie. Już wcześniej zdjęła z nóg buty, by zminimalizować hałas spowodowany jej krokami. Zimna, betonowa podłoga mroziła jej stopy, ale nie zwracała na to uwagi.

Rozejrzawszy się wokoło, na dłużej utkwiała wzrok w Jennifer Prescott. Jennifer nie powinna tu przychodzić. Kątem oka zarejestrowała, że i Phil zajął już swoją pozycję. Nalegał na nią, by - jeśli ona tu przyjdzie - mógł jej towarzyszyć. Wiedziała, że może na nim polegać. Ale nie Phil był tu dla niej najważniejszy. Nagle jej źrenice zwęziły się. Odnalazła go. Był tam, cień pośród innych cieni. Pozwoliła sobie na krótkie westchnienie ulgi, znalazła go, mężczyznę, który interesował ją ponad wszystko w świecie. Ukryty za wielką paką, nie dalej niż piętnaście stóp od niej, ukucnął jej syn, Jerome.

Jennifer splotła ręce, przytulając je blisko do ciała. Próbowwała za wszelką cenę uśmierzyć jakoś swój lęk. Myślała sobie o tym, jak szybko i jak drastycznie zmieniło się jej położenie. Tak niedawno temu opuściła śpiącego spokojnie Jerome'a. Sama nie mogła się sobie nadziwić, jak udało się jej

znaleźć w sobie tyle siły, by wyjść z łóżka i zostawić go samego. Uważała, że kochając go, nie mogła postąpić inaczej, i to dla dobra ich dwojga. Najbardziej w świecie pragnęła, by cała ta okropna historia już się skończyła, a ona i Jerome mogli żyć jak najzwyczajniejsza pod słońcem para zakochanych, bez tego strasznego bagażu przeszłości, który dotąd ciążył nad każdą wspólnie spędzoną przez nich chwilą.

Szósty zmysł nakazywał jej ostrożność, odwróciła się nagle. Naprzeciwko niej stał nieznajomy mężczyzna. Wysoki, około czterdziestki, ubrany w doskonale skrojony trzyczęściowy garnitur. Ogólne wrażenie elegancji psuł jednak pewien rys surowości, widoczny zwłaszcza w skrzywieniu ust. To mógł być tylko Wainright.

Jennifer zganiła się w duchu za zbyt rozróżnienie. Jeśli chce wyjść zwycięsko z tego trudnego starcia, musi być bardziej czujna. Zbyt głęboko pogrążyła się w marzeniach, rojąc o szczęśliwej przyszłości i nie usłyszała, jak nadszedł.

- Jennifer - przywitał ją lekkim skinieniem głowy, a tak dobrze jej znany, nieprzyjemnie syczący głos, spowodował, że od razu ze strachu przeszły ją ciarki.

- Pan Wainright - powiedziała z udawaną pewnością siebie. Zauważyła od razu, że nie jest sam i że osłaniają go dwaj mężczyźni, których sylwetki coraz wyraźniej wyłaniały się z cienia. Poznała ich i krew zastygła jej w żyłach. - Umawialiśmy się, że przyjdzie pan sam. - Strach dławił jej gardło, więc nie udało się jej wypowiedzieć tych słów tak stanowczo, jak sobie założyła. Opanowała się jednak i dodała już bardziej pewnie: sądzę, że pan ich natychmiast odeśle.

- Och, nie zwracaj na nich uwagi - poradził niemal figlarnie - oni tylko dotrzymują mi towarzystwa. - Jego udawany uśmiech podkreślił stale obecny w jego rysach wyraz wrogości. - Boję się ciemności, gdy jestem sam.

Spojrzała znowu na jego obstawę, to byli ci sami mężczyźni, którzy tak bezlitośnie tropili ją, zanim spotkała Jerome'a. - Przypuszczam, że jednym z tych panów jest wszędobylski Gardner Benjamin.

- Pan Benjamin był tylko łącznikiem między Richardem a mną. Nie ma go już z nami. Jego umowa... wygasła.

Zachowaj zimną krew, mówiła do siebie w duchu, inaczej nie masz tu najmniejszych szans. Wciągnęła spokojnie powietrze, próbując zmienić taktykę. - A co pan powie o Brewsterze?

Wainright zmarszczył brwi z lekceważeniem.

- Brewster? Nie wiem, o kim mówisz. Zresztą, nie traćmy czasu. Masz ze sobą mikrofotogram, czy nie masz? Moi chłopcy szukali go w mieszkaniu twojego przyjaciela, ale nie znaleźli go.

- Niech pan sobie wyobrazi, że zniszczyłam go.

- Jennifer, ten mikrofotogram jest dla mnie bardzo ważny i będę go miał, a ty mi w tym nie przeszkodzisz.

Nerwowo oblizwała wargi. - Zanim porozmawiamy o mikrofotogramie, chciałabym pana o coś spytać. Wyglądało na to, że cierpliwość Wainrighta jest na wyczerpaniu.

- A o co takiego?

- Chciałabym pana spytać, co stało się z Richardem. Czy on jeszcze żyje?

Błysk zdziwienia przebiegł po twarzy Wainrighta i zaraz zniknął. Ostrożnie dobierając słowa, powiedział: - Richard żyje, ale ty nigdy go nie zobaczysz, jeśli nie oddasz mi mikrofotogramu.

Jennifer spostrzegła, że nie spodziewał się jej pytania o Richarda i zanim w pełni uświadomiła sobie, co kryje się w jego odpowiedzi, od razu wiedziała, że w żadnym przypadku nie powinna mu ufać.

- Jakie dowody może mi pan przedstawić na potwierdzenie faktu, że mój brat żyje?

- Moi chłopcy zaprowadzą cię do niego, jak tylko oddasz mikrofotogram.

- Czy pan naprawdę wierzy, panie Wainright, że ja się zgodzę na taki układ?

Uśmiechnął się jednym ze swoich jadowitych uśmiechów.

- Wybacz mi Jennifer. Nie należy nigdy lekceważyć przeciwnika. Znakomicie przeszłaś przez tę ciężką próbę. Bo to była tylko próba - okrucieństwo wykrzywiło mu twarz. Już nie udawał, że stara się żartować. - Wiesz, Jennifer? Więc jeśli dasz mi to, czego od ciebie chcę, będziesz mogła znowu zobaczyć Richarda i wrócisz sobie spokojnie do swojego trybu życia. Zresztą nie masz wyboru. Dopóki nie dostanę mikrofotogramu, nie powiem słowa o Richardzie.

Umysł Jennifer pracował na przyśpieszonych obrotach. Wygląda na to, że znaleźli się w impasie. Oczywiście, mogła dalej starać się blefować, ale zaczęła wątpić, czy cokolwiek uda jej się w ten sposób osiągnąć. Gdy zastanawiała się, jaką ma obrać teraz taktykę, usłyszała dochodzący z cienia odgłos jakiegoś skrobania.

Wainright zareagował błyskawicznie. Złapał Jennifer i przycisnął do siebie, jedną ręką przytrzymując za szyję. Zanim w ogóle poczuła, co się stało, zimna lufa rewolweru wpijała jej się w skroń. Jego obstawa była równie szybka. Rewolwery pojawiły się w ich rękach nie wiadomo skąd, zupełnie jakby brała w tym udział jakaś magiczna siła. Każdy z mężczyzn ruszył w inną stronę, obaj a bronią wycelowaną groźnie w ciemność.

- Zdaje się, że nie przyszłaś tu sama - wychrypiął Wainright z głębi gardła. - To wielka pomyłka wiele może cię kosztować. Ostrzegalem cię. Zresztą może to tylko szczury.

Jerome nie wiedział, co spowodowało ten szmer, kto skrobał czy co skrobało, ale wiedział, że odkąd Jennifer weszła do składu, sam ani nie drgnął. Widząc lufę rewolweru przyłożoną do głowy Jennifer, zacisnął mocniej swą własną broń, czekając na odpowiedni moment, gdy będzie mógł jej użyć. Kiedy jeden z ludzi Wainrighta zbliżał się w jego stronę, uświadomił sobie, że nie zrobił jeszcze jednej ważnej rzeczy: nie powiedział dotąd Jennifer, że ją kocha. Musi to zrobić jak najszybciej.

Zza swojego podnośnika Leo obserwowała, jak wynajęty przez Wainrighta rewolwerowiec zbliża się powoli do kryjówki Jerome'a. Zaraz go odkryje! Nie była pewna, co może zrobić, ale wiedziała jedno: nie może pozwolić, by stało mu się coś złego.

Na środku pomieszczenia Jennifer na próżno szamotała się, próbując uwolnić się z żelaznego uścisku Wainrighta. Wszystko to zdarzyło się zbyt szybko, a ona nie mogła teraz nic zdziałać. Nagle po swojej prawej stronie spostrzegła Jerome'a. Widocznie musiał pojechać za nią! Poczula się zupełnie załamana. Jeśli teraz coś mu się stanie, będzie to tylko jej wina. Chciała koniecznie do niego krzyknąć, ostrzec go, ale rozsądek podpowiadał jej, że w ten sposób jedynie zwróci na niego uwagę Wainrighta.

Nagle usłyszała odgłosy walki, dochodzące - o dziwo - z jej lewej strony. Ledwo mogąc ruszyć głową, popatrzyła w tę stronę i zobaczyła Phila, taksówkarza, który ją tu przywiózł! Nie miała pojęcia, co spowodowało, że się tu znalazł, ale bez wątpienia to był on i bez wątpienia rzucił się właśnie na drugiego z ludzi Wainrighta.

Jerome również obserwował ich walkę, ale sam nie mógł nic zrobić, ponieważ mężczyzna, który skradał się w jego stronę, był już tuż obok niego, a jego odbezpieczony rewolwer nie zachęcał do podejmowania nieprzemyślanych posunięć.

Jerome zastygł w oczekiwaniu. Musi rozbroić napastnika tak szybko, jak tylko się da. Już teraz, gdy tamten podejdzie do ostatniego chroniącego go kartonu!

Wyskoczył z ukrycia i całym ciężarem ciała rzucił się na niego. Ramieniem trafił go w bok z taką siłą, że obaj krzyknęli z bólu i runęli na leżącą obok stertę kartonów. Rewolwer Jerome'a wyfrunął mu z dłoni. Jerome spróbował się wyprostować, ale zrobił to tak nieszczęśliwie, że czubkiem głowy uderzył w podbródek wstającego za nim mężczyzny. Cios zamroczył ich obu i Jerome opadł na kolana, ściskając bandytę z całej siły za prawe ramię i usiłując wyrwać mu z ręki rewolwer. W głowie kręciło mu się bez przerwy.

Zanim jednak udało mu się w ogóle dosięgnąć rewolweru, mężczyzna wy dostał się z jego uścisku i żelazną pięścią wymierzył mu cios w tył głowy. Jerome, zupełnie oszołomiony, osunął się znów na kolana. Kolejne uderzenie, tym razem w klatkę piersiową, dobiło go do reszty i runął jak długi na podłogę.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie Jennifer.

Jerome usłyszał krzyk protestu i rozpoznał głos Jennifer, myśląc w przebłysku świadomości, że słyszy ją ostatni raz przed śmiercią. Mężczyzna stojący przed nim z bronią wyciągniętą do strzału, również usłyszał jej przeraźliwe wołanie, ale nie zwracając na to uwagi nacisnął spust.

Dwa strzały rozległy się tak szybko jeden po drugim, że nieomal zlały się w jeden. Jerome spostrzegł, jak na twarzy mężczyzny pojawia się wyraz zdumienia, a potem jasna, czerwona plama wykwitła na jego piersi i bandyta wali się na podłogę.

Wainright oczywiście również usłyszał strzały. Tak go to zdziwiło, że zwolnił nieco uścisk, w którym trzymał Jennifer. Strach o Jerome'a dodał jej siły, miotana szaleństwem wpakowała łokieć prosto w prawą rękę Wainrighta, tę, w

której trzymał broń, i jednocześnie wbiła mu obcas swoich pantofelków z całej siły w stopę. Wainright wrzasnął z bólu i puścił ją. Błyskawicznie jej wzrok powędrował z stronę Jerome'a, który właśnie podnosił się z ziemi. Westchnęła z ulgą. Wyraźnie było widać, że nic mu nie jest.

Usłyszała za plecami jakiś hałas i obróciła się, gotowa walczyć o swoje życie. Zobaczyła barczystego, żyłastego mężczyznę pochylającego się nad półprzytomnym Wainrightem. Poznała go. To był Brewster!

Z przerażenia nie mogła złapać tchu. Przecież to Brewster grzebał w ich rzeczach tego popołudnia, gdy wróciwszy do domu znalazła zabitego Richarda, leżącego w kałuży krwi na podłodze ich mieszkania.

Brewster podniósł na nią oczy i uśmiechnął się od ucha do ucha. - Wybacz, Jennifer, że zjawiłem się tak późno, ale moi chłopcy musieli jeszcze sprawdzić parę rzeczy. - Mówiąc to, zakuwał jednocześnie Wainrighta w kajdanki.

Jennifer cofnęła się o krok. - Ty! - Ze zdenerwowania słowa więzły jej w gardle i ledwo można było zrozumieć, co chce powiedzieć. - To ciebie widziałam wtedy w naszym mieszkaniu!

- Nie ma się czym przerażać, uspokój się. - Wstał i wyciągnął do niej rękę, ale zaczęła cofać się do ściany z wyrazem paniki w oczach. Zbliżał się do niej powoli, za wszelką cenę próbując nie denerwować jej bardziej i cały czas przemawiając do niej łagodnie. - Jennifer, to nie to, co myślisz. Ja nie zabiłem Richarda. Proszę, uwierz mi. Pracuję także w Narodowej Organizacji Bezpieczeństwa. Poza tym Richard żyje. Naprawdę, on żyje.

Nagle Jennifer zachwiała się, osłabiona wszystkimi przeżyciami tego ciężkiego dnia. Brewster złapał ją za ramię. - Nic nie rozumiem - wyszeptała.

- Zanim jeszcze weszłaś do domu, zdążyłem już wezwać pomoc. Richard nie zginął. Leżał tylko nieprzytomny. Dostał wiele ciężkich postrzałów i stąd tak wiele stracił krwi. Richard przyszedł do nas odkąd zaczął podejrzewać Wainrighta i od tej pory współpracowaliśmy w tej sprawie. Nie powiedział mi tylko, gdzie ukrył drugi mikrofotogram, który uważał za gwarancję swojego bezpieczeństwa. Słyszałaś kiedyś naszą kłótnię, to właśnie na ten temat mieliśmy odmienne poglądy. W każdym razie, jak mnie u was zobaczyłaś, wiedziałem już, że Richard będzie żył, więc czym prędzej starałem się odszukać mikrofotogram, zanim odnajdzie go Wainright. Nie przypuszczałem, że wrócisz tak szybko i zastaniesz mnie na przeszukiwaniu waszego mieszkania. Poza tym jako porucznik policji z Komendy w St. Paul i tak miałem prawo to zrobić. - Nagle jego uwagę zwróciło coś innego. - O Boże, nie! Bob - zwrócił się do kogoś, o czym istnieniu Jennifer nie miała pojęcia - wezwij natychmiast karetkę.

Jennifer spojrzała i wstrzymała oddech. Jerome klęczał na ziemi, podtrzymując Leo. Widać było, jak spod jej rozpiętego płaszcza sączy się krew z otwartej rany po lewej stronie piersi. Jerome próbował zatamować ją chusteczką.

- Leo, nie martw się, wyzdrowiejesz na pewno, słyszysz mnie?

Otworzyła na chwilę swe wyblakłe niebieskie oczy i jej spojrzenie zatrzymało się na nim na moment.

- Jerome...

- Nic nie mów - wyszeptał, odgarniając włosy z jej straszliwie pobladłej twarzy.

- Jerome - wyjąkała słabnącym głosem - przepraszam... - i straciła przytomność.

- Niech ktoś szybko wezwie karetkę - wykrzyknął poruszony do głębi Jerome. Nie mógł pojąć, skąd o się wzięła Leo i dlaczego go przepraszała.

Jennifer uklękła przy nim i objęła go za szyję, tuląc go i próbując jakoś uspokoić. - Karetka już jest drodze - szeptała, dopóki nie usłyszeli wycia syren. Podtrzymując Leo jedną ręką, drugą dotknął policzka Jennifer.

- Dzięki Bogu jesteś cała i zdrowa! Co tu się stało?

- Już po wszystkim, Jerome, już po wszystkim. - Delikatnie dotknęła okropnego guza na jego czole. Bardzo cię boli?

- Tylko trochę. Najbardziej martwię się o Leo. Do diabła, dostała kulę przeze mnie. Dlaczego? Nagle wokół nich zaroilo się od białych fartuchów. - Zabieramy ją. - Szybko podłączyli ją do monitora i zastąpili nasiąkniętą krwią chusteczkę Jerome'a grubym bandażem. - Kto to jest? - pytano.

- Na imię ma Leo - warknął Jerome - bądźcie ostrożni. - Wydawało mu się, że są wyjątkowo niezdarni i traktują ją bez minimum delikatności.

- Leo i co dalej? - spytał jeden z sanitariuszy. - Chyba nie ma żadnych dokumentów. Musimy wiedzieć, czy nie jest na coś uczulona.

Phil, który niepostrzeżenie podszedł do grupy otaczającej Leo, po raz pierwszy przerwał milczenie.

- Nazywa się Leonora Mailer. O ile wiem, nie jest uczulona na żadne lekarstwa.

Jerome nie byłby bardziej zaszokowany, gdyby trafiła go kula.

- Co ty powiedziałeś? - zapytał. powoli wymawiając każde słowo.

- Leonora Mailer. To twoja, matka, Jerome - powiedział spokojnie Phil. Przytrzymał chusteczkę przy rozbitym nosie, a dolna warga puchła mu w oczach. Jeden z sanitariuszy zaproponował mu opatrunek, ale Phil szorstko odmówił.

Tymczasem Leo została ułożona na noszach.

- To niemożliwe! - zaprotestował gwałtownie Jerome. Moja matka nie żyje. A poza tym Leo nie jest do niej podobna.

- Widziałeś ją ostatni raz, kiedy byłeś dzieckiem - przypomniał Phil. - Zwykle się nam wydaje, że ludzie, których nie widzieliśmy przez dłuższy czas, pozostają tacy sami, jak podczas ostatniego spotkania. Ale zapominamy, że nawet kamienie zmieniają się wraz z upływem czasu.

Sanitariusz przyjrzał się najpierw jednemu, potem drugiemu.

- Możecie z nami jechać, jeśli chcecie, ale trzeba się spieszyć.

Jerome pokiwał głową oszołomiony. To niemożliwe. To niemożliwe. A jednak...

- Odwiozę cię - powiedziała Jennifer.

- Obawiam się, że to niemożliwe - powiedział Brewster, który podszedł do nich.

- Kim pan jest? - burknął zdezorientowany Jerome.

- Brewster, Narodowa Organizacja Bezpieczeństwa - pokazał Jerome'owi legitymację. - Jennifer powinna złożyć zeznania, a poza tym brat bardzo chciałby się z nią zobaczyć.

- Richard? - Wszystko to nie miało najmniejszego sensu. Więc Richard żyje, a Leo jest najprawdopodobniej jego matką. Czul się tak, jakby świat przewrócił się do góry nogami. Jerome spojrzał na nosze, a potem znowu na Jennifer.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Jedź tam.

Wahał się.

- Wszystko w porządku?

Pragnęła, żeby był z nią, żeby ją uspokoił, żeby razem z nią cieszył się, że Richard żyje. Pragnęła go objąć, pomóc mu odzyskać równowagę i zrozumieć zachowanie Leo. Ale każde

z nich miało własne obowiązki. Ona nie mogła go zastąpić, a on nie mógł wyręczyć jej.

- Czuję się świetnie - powiedziała. - Idź już. Leo potrzebuje cię.

Rozdział 9

Aseptyczny zapach szpitala drażnił przeczulone nerwy Jerome'a. Światła wydawały się zbyt jasne, a ludzie obcy, niemal nieprzyjaźni. Do szpitala odwiózł go Phil. Przyjechali tuż za ambulansem. Leo została natychmiast przewieziona do sali diagnostycznej, a Jerome i Phil otrzymali formularz do wypełnienia. - Do diabła, nie wiem, co tu napisać!

- Daj mi to - spokojnie zaproponował Phil. - Postaram się to wypełnić.

- Przyjacielem Leo. To wszystko.

- A kim ty, do cholery, jesteś? - wrzasnął na niego Jerome.

- Przyjacielem! A wiesz o mej więcej niż ja.

- Wiem, że jest dobrą kobietą i ma dużo przyjaciół.

Wszedł chirurg w zielonym fartuchu. - Czy któryś z was jest spokrewniony z panią Mailer? Jerome poczuł, że coś ściska go w gardle. Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

- Tak. On jest spokrewniony - Phil wskazał go wzrokiem.

- Jak ona się czuje?

- Wszystko będzie dobrze. Miała szczęście. Kula przeszła obok serca i uwięzła poniżej obojczyka. Konieczna jest operacja.

- Proszę mi przysłać rachunek - powiedział lekarzowi Jerome. - Chciałbym, żeby miała wszystko, co najlepsze. Pieniądze nie grają roli.

- Zawiadomię pana, jak tylko wyjmemy kulę. Ale rozmowa z nią będzie możliwa dopiero po kilku godzinach. Nawiasem mówiąc, wygląda na to, że i wam przydałby się lekarz.

- Czuję się świetnie - odpowiedział szorstko Jerome.

- Może później - wtrącił się Phil. - Dziękujemy, doktorze.

- Jerome! - Sami dosłownie wleciała przez drzwi. - Co z Leo?

- Mówią, że będzie dobrze. Zabrali ją na salę operacyjną.
- Podniósł się i przyjrzał się jej uważnie.
- A skąd wiedziałaś, że tu jestem?
- Jak ty wyglądasz? Nic ci nie jest?
- Czuję się lepiej, niż wyglądam - uspokoił ją. - I odpowiedz mi na pytanie.

Spojrzała na niego zmieszana. - Leo mi powiedziała, że dzisiejszej nocy wybieracie się do tego magazynu. Ja też chciałam tam pojechać, ale Eugene mi zabronił.

- Dzięki Bogu choć za to - westchnął.
- Jerome! Odchodziłam od zmysłów. Eugene doszedł do wniosku, że Leo została zastrzelona, przyjechaliśmy prosto tutaj...

- Ja poczekam w sąsiednim pokoju - wtrącił się Phil.

Jerome patrzył, jak on wychodzi i z rezygnacją pokiwał głową. - Sami, Phil mówi, że Leo jest moją matką. Ja tu czegoś nie rozumiem. Przecież to niemożliwe!

- To prawda, Jerome - powiedziała spokojnie.

Jerome'em owładnęło irracjonalne poczucie zdrady. - Więc ty też o tym wiedziałaś? Sami potakująco skinęła głową.

- Sam nie wiem, dlaczego jestem tak zaskoczony. Zdaje się, że wszyscy o tym wiedzieli. Tylko nie ja,

- Czuł się głęboko dotknięty. Dlaczego Leo nic mu nie powiedziała?

- Wiedział tylko Phil i ja. Takie było życzenie Leo. - Wnętrzem dłoni pogłaskała go delikatnie po guzie na czole. - Nie bądź zgorzkniały, kochanie.

- Zgorzkniały! Przecież mam ku temu wszelkie powody. Mówimy o kobiecie, która porzuciła własne dziecko.

- Ależ ona cię nie porzuciła. Patrzysz na to z punktu widzenia dziecka. Ona umieściła cię w rodzinie zastępczej, żeby zapewnić ci jak najlepszą opiekę. Skąd mogła wiedzieć, że uciekniesz?

- Wyrzuciła mnie jak pustą butelkę.

- Jerome, usiadźmy tu - Sami ujęła go za ręce i wskazała wzrokiem kanapę. - Posłuchaj mnie. Przez ostatnie pięć lat poznałam Leo bardzo dobrze i jeśli czegoś na tym świecie mogę być pewna, to to, że ona bardzo cię kocha. Powiedziała mi, że uświadomiła sobie, że cię zaniedbuje z powodu swego alkoholizmu. Wiedziała, że jeśli wam obojgu ma się powieść w życiu, musi umieścić cię u ludzi, którzy się tobą zaopiekują, kiedy ona będzie przechodzić kurację.

- Dlaczego mi tego nie wytłumaczyła?

- Nie wiem. Może próbowała. Myślę, że już wtedy byłeś oporny i uparty. Może nie chciałeś słuchać. Chodzi o to, że uciekłeś, zanim mogła wrócić i odebrać cię. Zerwał się na równe nogi. - Ale po co znów wkroczyła w moje życie? Nie potrzebuję jej teraz.

- Potrzebujesz jej bardziej, niż sobie wyobrażasz. Ponieważ myślałeś, że ona porzuciła cię przed laty, twoje stosunki z kobietami nie układały się normalnie. Bałeś się zaangażowania, bałeś się, że kobieta, którą pokochasz, porzuci cię tak samo jak matka. Leo cierpiała na ciężką chorobę, zwaną alkoholizmem, była bliska śmierci. Jej główną troską było zapewnienie ci dobrej opieki. Później przez całe lata poszukiwała cię, aż kiedyś przypadkowo natrafiła na twoje nazwisko w gazecie w rubryce towarzyskiej. Wreszcie przyjęła kulę przeznaczoną dla ciebie.

Jerome siedział przy łóżku Leo, czekając aż odzyska przytomność. Wczesnym rankiem Sami zaciągnęła go i Phila do lekarza. Po opatrzeniu rozbitego nosa Phil pojechał do domu, zaraz po tym, kiedy poinformowano ich, że Leo jest już po operacji. Jerome zabawił w gabinecie lekarskim nieco dłużej. Prześwietlenie wykazało, że żadne żebro nie jest złamane ani pęknięte, a różnokolorowe obrzęki na całym ciele, to nic szczególnie groźnego. Zaproponowano mu środki

przeciwbólowe, ale odmówił. Ból miał swoje dobre strony. Pomagał mu zachować jasność umysłu. Kiedy jednak siedział tak wiele godzin przy łóżku matki, opuściły go jego legendarne umiejętności analityczne, pozostał tylko instynkt.

Nagle jej wargi poruszyły się. - Jerome.

- Jestem tutaj - łagodnie pogłaskał ją po rękę. - Postaraj się znów zasnąć. Otworzyła oczy. - Jerome.

Wszystko jest dobrze. Jesteś w szpitalu. Zostałaś trafiona kulą, ale lekarz mówi, że wszystko będzie dobrze.

- Jerome... tak mi przykro..., synku. Słowo „syn” wzruszyło go z niebywałą siłą.

- Mamo - powiedział to spontanicznie i naturalnie - mamu, dziękuję ci, że kochałaś mnie tak bardzo, żeby nade mną czuwać przez ostatnie pięć lat. I za to, że uratowałaś mi życie.

Jennifer nie czekała na niego, kiedy przyjechał do domu. Był rozczarowany, miał jednak pewność, że do niego wróci. Spacerując wolnym krokiem po mieszkaniu, wszędzie wyczuwał jej obecność. W kącie salonu leżała złożona kolejka elektryczna. Zdecydował się już, że Jennifer i on powinni, jak najszybciej przenieść się do większego mieszkania - najlepiej gdyby mógł to być dom niedaleko Sami i Morgan -

że w tym domu jeden pokój będzie przeznaczony wyłącznie na kolejkę. Musi być również miejsce dla Leo. I dla dzieci, co najmniej dwojga, najlepiej małych dziewczynek, które byłyby podobne do matki. wziął dwie aspiryny, rozebrał się, położył do łóżka i natychmiast zasnął. Kiedy Jennifer weszła do sypialni, na dworze było już ciemno.

- Cześć - powiedziała miękko głosem, siadając koło niego - jak się czujesz? Ten guz na czole wygląda strasznie. A to co takiego? - opuściła wzrok niżej. - Jerome - powiedziała, lekko podnosząc głos - przecież to jeden wielki siniak. Wyglądasz okropnie.

- Nie jest tak źle, zapewniam cię, lekarze mnie badali.

- Wyspałeś się?

Skinął potakująco głową.

- A ty?

- Spałam w samolocie.

- Nie martw się już o mnie i powiedz mi, gdzie byłeś i co z Richardem.

- Richard czuje się dobrze. Zabrali mnie do Waszyngtonu, gdzie dochodzi do siebie w szpitalu. Byłam u niego kilka godzin i poprosiłam, żeby kupili mi bilet powrotny. Richard chciałby cię poznać.

- Zaprosimy go na ślub - powiedział i wciągnął ją pod siebie. Nie mógł już dłużej czekać. Tak bardzo pragnął poczuć na wargach dotyk jej ust.

Okrzyk Jennifer: - Uważaj na zebra! - utonął w długim, gorący pocałunku. Po chwili jednak Jennifer częściowo wyswobodziła się z uścisku i opierając się na łokciu, zapytała ostrożnie: - Na wesele?

- Kocham cię, Jennifer - powiedział poważnie. - Kocham cię ponad wszystko na świecie.

Oczy Jennifer zognomniały ze zdumienia. Dotknęła czubkiem palca jego ust. - Nigdy nie myślałam, że usłyszę te słowa.

- A ja nigdy nie myślałem, że je wypowiem - jego usta poruszały się pod jej palcem. - Ale pewnego wieczora pewna piękna kobieta wyłoniła się z cienia zadymionego baru i poprosiła mnie, żebym ją zabrał do hotelu. Musiałem powiedzieć: „tak”.

Z westchnieniem ułożyła się obok niego, starając się nie sprawić mu bólu. - Miałam nadzieję, że mnie pokochasz, ale nie byłam pewna.

- Nie miałem żadnych szans. Od razu wpadłem w twoje sidła. Jego ręka wślizgnęła się pod jej sweterek i zaczynała

czule głaskać jej pierś, - Tak się bałem, że odejdziesz. To mnie powstrzymywało i dlatego nie powiedziałem ci tego, co od razu powinienem powiedzieć.

Poruszyła się niespokojnie. - Nie chciałam odejść, bo cię kochałam. - Jęknęła cicho, kiedy palcami dotknął sutka. - I kocham cię.

- Teraz to wiem. I tak się cieszę. Wyjdziesz za mnie?

- Naprawdę o to pytasz?

Nie mógł przestać jej dotykać i wiedział, że zawsze tak będzie. Przez chwilę podtrzymywał jej pierś dłonią. - Oczywiście, że tak. Kiedy byłeś w podróży, zaplanowałem dla nas cały dom i rodzinę. - Zdjął jej sweter i przywarł ustami do sutka, którego przed chwilą dotykał.

- Nie odpowiedziałaś mi - przypomniał jej, okrążając sutek czubkiem języka.

- Tak, oczywiście, że wyjdę za ciebie - westchnęła przytrzymując kurczowo nadgarstek ręki dotykającej jej piersi.

- A zgadzasz się na dom i dzieci?

- Tak - odpowiedziała. - Dom i dzieci, to świetny pomysł.

- A co byś powiedziała na jeszcze jedną zmianę nazwiska? Mailer? Obiecuję ci, że to ostatni raz. Roześmiała się. - Szaleję na samą myśl, że będę Jennifer Mailer.

Odsunął się od niej i z podziwem chłonał jej delikatne, egzotyczne piękno. Pierwszy raz w życiu mógł z czystym sumieniem stwierdzić, że jest zupełnie i całkowicie szczęśliwy. Gigantyczna dziura w jego sercu została wreszcie wypełniona. - Jennifer, kocham cię tak bardzo. Kochajmy się teraz.

- Jerome, jesteś cały poraniony! Nie możemy tego robić.

- Możemy - odpowiedział, zanurzając palce w jej włosy i zbliżając usta do jej ust. - Możemy, jeśli będziemy to robić bardzo ostrożnie... i bardzo powoli.